

# Sternik

## dwutygodnik dla młodych Warszawa

ROK II Nr. 8

25-go KWIETNIA 1930 R.

CENA 50 GROSZY.

### WIĘCEJ SPOKOJU

Jakże się wszyscy strasznie spieszymy, wciąż niepokojem wewnętrznym gnani, jakże prędko mijamy się z ludźmi, ze sprawami wielkimi i małymi, nie dostrzegając ich, pobieżnym spojrzeniem musnąwszy, okrucieństwem myśli dotknąwszy. Jakież tempo szybko biegaczy bierzemy w każdej godzinie powszedniego dnia i tak, jak oni u schyłku biegu nie mamy w sobie myśli, czucia, nie widzimy niczego i niczego nie dostrzegamy, pokonani przez moc znużenia, aż niewidoczna oczom biała wstęga mety się staje i aż niezrozumiałym cel, do którego wysiłkiem wielkim zdążamy.

Radzilibyśmy wtłoczyć w każdą minutę nadmierną ilość poczynań, przeznaczając krótkie godziny na ich zrealizowanie, wypowiadając wojnę Wielkiemu Panu, czasowi, w zapasach z którym przegrywamy tak często, nie siląc się nigdy na rozumienie jego potęgi. „Nie mam czasu”. To powiedzenie natrętnie dźwięczy dziś w uszach ciągle, na każdym kroku od swoich i obcych, od najbliższych i najdalszych ludzi słyszane. „Nie mam czasu”, bezapelacyjna odpowiedź tych wszystkich, co go właściwie tak dużo mają i trwonią na tysiącach spraw i zmieniają ten wielki pieniądz na niezliczoną ilość krążków bilonu, — drobiazgów, w które rozsypuje nadmiar podjętych rzeczy, gubiąc się najczęściej w powstającym chaosie. I stąd pośpiech, aby wszystkiemu nadążyć, i stąd ten wieczny pośpiech — niepokój, trawiący współczesnego człowieka, pozbawiający go tej cudownej możliwości skupiania się, pozostawiania sam na sam ze sobą samym, ustawienia w myśli zwierciadła przed sobą i popatrzenia w głąb odbitej w niem własnej duszy.

Zły to pośpiech, w którym zatracamy się przecież, nie mając czasu, aby móc się zastanowić dokąd i poco biegniemy, tracąc z przed zmęczonych oczu białą metę — cel.

Zły to pośpiech i my źli się stajemy, reagując na każdą przeszkodę gniewem, złością, zdenerwowaniem. Jakie złe, albo niechętnie twarze mają dziś ludzie, jak rzadkim gościem na ich twarzach jest dobry, życzliwy uśmiech, jakże wymuszonymi są ich ruchy, gesty, wymownymi w sensie odkrywania ich wewnętrznego stanu duszy.

I oto obok „nie mam czasu” inne słowa bez końca

słyszane: „jestem zdenerwowana, czy jestem zdenerwowany”. Wszystko dzisiaj tem się tłumaczy, zda się niekiedy, że zagubiło się pojęcie winy, bo każde uchybienie, każdy błąd, grzech większy i mniejszy owem „zdenerwowaniem” wytłumaczyć można, i z każdego grzechu w swoich i cudzych się oczach uniewinnić. Zatraca się w człowieku dzisiejszym znaczenie i ważność **formy bycia**, nie w znaczeniu jakiegoś konwencjonalizmu czy stosowania się do pewnego kodeksu form towarzyskich, ale w znaczeniu zgody formy z treścią wewnętrzną. Popatrzmy na dzisiejszą ulicę, zatrzymajmy się w hallu kinowym, wejźmy do dużego sklepu, popatrzmy na młodzież w czasie rekolekcji, obserwujmy, ludzi, cisnących się do kościoła. Ileż złości, niecierpliwości, opryskliwości, ileż objawów nieopanowania siebie, jakie lekceważenie dla formy zewnętrznego stosunku człowieka do człowieka. Jakaż błyskawiczność reakcji w formie ordynarnego, czy uszczypliwego słowa, złego błysku oczu, grymasu ust, czy wreszcie gestu, do rękoczynu włącznie.

Ileż niechęci, niecierpliwości, podejrzliwości, niechęci w stosunkach z ludźmi.

I wreszcie ileż niezadowolenia w stosunku do nas samych, jaka obcość, jakie zdziwienie, gdy w chwili głębszego zastanowienia staramy się siebie zrozumieć i ocenić.

Tak. Przychodzą niekiedy chwile, w których przymykamy oczy i zatrzymujemy myśl skaczącą, wiecznie niespokojną i nieukojoną na wielkim pragnieniu, aby się uspokoić, zatrzymać przyśpieszone tętno serca, opanować się.

Taka chwila, to błogosławiony i dobroczynny odpoczynek, to moment przeglądu własnych sił, to może pierwszy krok w kierunku wyśrodkowania właściwej linii, po której iść należy.

Wogóle ów wewnętrzny spokój, to przecież największe dobro i bezcenny skarb, to potężna siła i niezawodna opora w walce z sobą o zwycięstwo lepszych wartości, w walce z życiem o jego uszlachetnienie — ów spokój — to możliwość oceny wszystkich oderwanych i rzeczywistych spraw, to możliwość naszego ustosunkowania się do nich, — to wyzwolenie się od przytłaczającego balastu drobiazgów, które nas przy-

tlaczają i możliwość zgłębienia ważności prac, jakich się podejmujemy, to wreszcie cudowny moment zdobycia wolności w rozporządzaniu sobą i zrozumienie potęgi czasu.

Żadne słowa nie wywierają na mnie takiego wrażenia, jak owo przedziwne „pokój wam“, jak owo nieśmiertelne „pokój ludziom dobrej woli“. — Powtarzając wolno i ze skupieniem, wmyślając się całym sobą w owe przedobre słowa, czujemy, jak ucisza się w nas wszystko, jak spływa do duszy dobra wola, aby osiągnąć prawo do onego przez anioły niesionego spokoju.

Broni on nas przed niewiarą i przed zniechęceniem, przed pesymizmem i przed zwątpieniem, pozwala dostrzegać wszyst-

## Z CYKLU O WYBORZE ZAWODU.

# PRZYSZŁY NAUCZYCIEL

Zawód nauczyciela, pomimo iż jest bardzo jasno określony, zarówno co do rodzaju pracy, jak i co do przygotowania, w pojęciu ogółu nie jest taką wyraźną specjalnością, jak na przykład zawód lekarza, czy adwokata. Pochodzi to, w pewnej mierze stad, że studja przygotowujące, nie są naogół specjalne (o ile idzie o nauczycieli szkół średnich), ale posiadają tylko pewien kierunek naukowy, (np. polonistyka, historia, przyroda i t. p.)... To też o wyborze tego zawodu decyduje często poprostu zamiłowanie do jakiejś określonej nauki, nie mającej swego technicznego odpowiednika, i nie dającej sama przez się określonego fachu. Naprzykład: ktoś ma w szkole wybitne zamiłowanie i zdolności do matematyki; zapisuje się, zgodnie ze swymi upodobaniami, na wydział filozoficzny uniwersytetu i studjuje specjalnie tę naukę. Czem będzie później? Rzecz prosta, że jedynie nauczycielem matematyki, chyba że będzie o tyle wybitny i zdolny, że zupełnie, odda się nauce i zostanie w przyszłości profesorem uniwersytetu. Ale to jest dla wyjątków, a oprócz tego wiele warunków, czysto praktycznych, musi się szczęśliwie złożyć, by umożliwić obranie ściśle naukowej drogi. Ogólnie biorąc, ci co mają zainteresowanie teoretyczno-naukowe w pewnym kierunku, zostają później nauczycielami. Tymczasem, samo zamiłowanie naukowe tu nie wystarcza. Inną rzeczą jest być dobrym historykiem, a inną — umieć kogoś historii nauczyć. Wreszcie przed nauczycielem stoją, obok naukowych i dydaktycznych, zadania wychowawcze, musi umieć wychowywać, a nietylko uczyć.

Ktoś więc, pragnący w przyszłości wybrać ten zawód, musi zbadać swoje uzdolnienia i zamiłowania w trzech kierunkach: 1) naukowym, 2) dydaktycznym, 3) pedagogicznym. Poza tem przyszli nauczyciele powinni posiadać, czy też wyrobić w sobie pewne cechy charakteru szczególnie pożądane i ważne, jeżeli się zważy, że mają podjąć pracę wyjątkowo delikatną, subtelną i odpowiedzialną.

Dzieci są materiałem niesłychanie wrażliwym i plastycznym, tak, że wszelkie błędy, zarówno jak i rozumne postępowanie, pociągają olbrzymie następstwa, z których wielu nauczycieli nie zdaje sobie nawet sprawy.

Pierwszym więc warunkiem do wyboru nauczycielskiego zawodu są **zamiłowania naukowe**. (Oczywiście mowa tu o pełnym nauczycielu, gdyż wychowawca, w ciasnym tego słowa znaczeniu, np. wychowawca bursy czy internatu, może wcale nie uczyć i naukowych zamiłowań nie posiadać). Nauczyciel ma, jako zadanie, szerzenie wiedzy. Obok świata ściśle naukowego, uniwersyteckiego, jest jednym ze współtwórców kulturalnego, intelektualnego poziomu swego społeczeństwa.

To, co dają zdobycze wiedzy czystej w zamkniętym kole wynalazców i uczonych, przenika do ogółu myślącego za pośrednictwem szkoły, czyli nauczyciela. I wtedy staje się własnością ogółu. Dlatego też nauczyciel nietylko musi mieć gruntowne przygotowanie naukowe, ale musi przez całe życie utrzymywać możliwie ścisły kontakt ze światem uniwersyteckim i z nauką teoretyczną, bezinteresowną, to jest nie przy stosowaną ani do techniki ani do potrzeb umysłu dziecka.

ko piękno życia, każe radować się tylu cudami, których nie doceniamy, nie dostrzegamy nawet w wiecznym pośpiechu i zakłopotaniu, — każe zastanawiać się nad przedziwnością tego, co nam się wydaje takie... zrozumiałe, przeto zastanowienia niegodne. — „Pokój mój daję Wam“. — Powtarzajcież wy młodzi te słowa, uczcie się rozumieć je, wsłuchajcie się w ich kojącą ciszę, wchłaniajcie w siebie tę moc spokoju. Wtedy naprawdę radością Wam będzie odbicie promienia słonecznego na szarej ścianie pokoju, zapach kwiatu, ziemi i drzewa, utajone dobro ludzkiej duszy i nieprzemijająca wartość dobrego i mądrego czynu.

Janina Strzelecka

Istnienie zamiłowań naukowych, łatwo jest dostrzec już u uczniów szkoły średniej.

Niema zwykle trudności z wyborem kierunku, gdyż upodobania, a one są miarodajne, zaznaczają się wczesnie. Lubi się przez dłuższy okres czasu, stale pewien przedmiot; jednocześnie zwykle nie lubi się innego przedmiotu. Na ten negatywny stosunek do przedmiotu trzeba też zwrócić uwagę, gdyż on pozwala lepiej się zorientować we własnych uzdolnieniach. Dany uczeń, na przykład, celuje w historji, rozczytuje się w literaturze historycznej, natomiast zdecydowanie nie lubi przyrody. Inny jest wybitnym fizykiem, ma natomiast ogromne trudności językowe i nie może nawet ortografji własnego języka opanować. Duże różnice w upodobaniach zdradzają wyraźne uzdolnienia.

Kto lubiłby wszystkie przedmioty jednakowo i ze wszystkich miałby jednakowe postępy choćby dobre, zazwyczaj nie będzie miał wybitnych naukowych uzdolnień. Trzeba więc bardzo się liczyć ze swymi upodobaniami i starannie odłączyć to, co jest wynikiem względów ubocznych, np. dobry nauczyciel umiejący wzniecić zapał do przedmiotu, powodzenie które się w nim osiągnęło, wpływ kolegi i t. p. od zamiłowań zasadniczych.

Drugą sprawą, nieco już trudniejszą, jest ocena swych uzdolnień dydaktycznych. Nauczyciel musi **umieć nauczyć**. Ogromne są indywidualne różnice pod tym względem. Nie-raz wybitny uczony, umysł niepospolity, nie może innych niczego nauczyć. Natomiast są jednostki takim zmysłem dydaktycznym obdarzone, że nauczą drugiego wszystkiego tego, co tylko same umieją. Zasadniczą cechą dobrego dydaktyka jest to, że nie idzie on za własną myślą, widzi nietylko dane zagadnienia, ale przedewszystkiem umysł tego, który go słucha. Orientuje się w mechanizmie myślenia drugiego człowieka. Dobry nauczyciel musi umieć wczuć się w prace myślową uczniów, musi umieć z niejasnych i niekompletnych wypowiedzeń się ucznia, odtworzyć sobie jego trudności. Dar nauczania jest w pewnej mierze wrodzony, ale może potęgować się i rozwijać przez świadome ćwiczenie się, a to przedewszystkiem w **jasnym** wypowiedzianiu swych myśli oraz w odgadywaniu i rozumieniu cudzych, choćby źle wyrażonych. Czy się posiada zdolności dydaktyczne, można rozpoznać już w czasie pobytu w szkole. Jeżeli ktoś tłumaczy kolegom tak, że ci rozumieją nawet rzeczy zawiłe i trudne, jeżeli zwracają się do niego o pomoc, jeżeli on jest tym nieodzownym przed klasówką czy egzaminem, to znaczy, że ma uzdolnienia nauczycielskie.

Ale musi jeszcze posiadać **umiejętność wychowywania**. Na to, żeby umieć wychowywać trzeba znać i rozumieć psychologję dziecka, posiadać takt pedagogiczny i — lubić dzieci. Dwie ostatnie właściwości są wrodzone. Można z nich sobie zdać sprawę już ze swego stosunku do kolegów w szkole. Widzimy tam zawsze jednostki, które umieją grupę zorganizować, które mają posłuch, do których młodszy się garną. Jeżeli do starszego kolegi inni zwracają się o radę, okazują zaufanie, proszą choćby o zorganizowanie zabawy; jeśli ten

starszy kolega umie poradzić, od malców nie stroni, jeżeli zwłaszcza umie odczuć i zrozumieć kolegę, który inaczej od niego myśli i postępuje, to jest w nim materiał na wychowawcę.

Są wreszcie pewne właściwości charakteru i psychiki człowieka, oraz ogólne warunki nawet fizyczne, które czynią go do zawodu nauczyciela odpowiednim, a których brak, w każdym razie, utrudnia pracę. A więc: dobre zdrowie oraz pewne cechy fizyczne, jak dźwięczny, silny głos, wyraźna dykcja, dobry wzrok i słuch, wytrzymały system nerwowy. Nauczyciel musi się szybko orjentować, musi mieć zdolność obejmowania całości i szczegółów jednocześnie, umieć się skupić i zachować jednocześnie czujną wrażliwość na otoczenie. Jeżeli zaś idzie o jego sylwetkę psychiczną, to musi łączyć szereg właściwości trudnych do osiągnięcia, bo w pewnym stopniu sprzeciwiających się sobie. Są jednak dla nauczyciela niezbędne. Przedewszystkiem musi posiadać **zmysł rzeczywistości** (niezależnie od mniejszego lub większego idealizmu czy optymizmu życiowego, który jest pożądanym). Teoretyk, o nierealnym myśleniu może być nawet szkodliwy. Widzi przed sobą nie żywe dzieci, ale takie, jakie być powinny, albo takie jakie z jego teoretycznych założeń wynikają. Taki nauczyciel żyje jakby w innym świecie. On sobie — a dzieci sobie, nie przenikają się wzajemnie. Ma często bardzo dodatnie pojęcie o uczniach, albo bardzo ujemne, ale i jedno i drugie nie odpowiada rzeczywistości. Programy szkolne, regulaminy, przepisy wychodzące z pod pióra takich nauczycieli, są często niewykonalne i nieraz dotkliwie ciężą nad całym życiem szkolnym.

Poczucie realnego życia, umiejętność widzenia go w prawdzie, przyjęcie jego wymagań i zjawisk rzeczywistych za punkt wyjścia do wszelkich teoryj i metod pracy powinno być cechą charakterystyczną umysłowości nauczyciela. Teoretycy czystej wody, marzyciele, wynalazcy, do pracy szkolnej, ogólnie biorąc, się nie nadają.

Następnie nauczyciel powinien posiadać temperament **żywy**. Powinien być indywidualnością wrażliwą i gorącą, zdolną do silnych uniesień bo tylko taką młodzież czuje się dobrze. Dzieci nie znoszą chłodu. Nic straszliwszego jak typ zmechanizowanego, tak zwanego „zrutynowanego nauczyciela“, którego lekcje mogą być wzorowemi „jednostkami metodycznymi“, a tem nie mniej zdecydowanie nudnymi dla uczniów. Nauczyciel taki zawsze równy, jednakowo reagujący na przejawy życia szkolnego nie wnosi ani swej fantazji, ani temperamentu, do klasy. Dokoła niego wytwarza się atmosfera poprawności, martwoty i nudy. Kierownikiem młodzieży powinien być żywy człowiek, czujący i myślący jak każdy inny, bezwzględnie wolny od urzędowości i sztywności.

Jednocześnie winien on jednak być **opanowany**. Nie może mieć „nerwów“, ani przesadnej wrażliwości na dzisiejsze wybryki. Nie powinien mieć nigdy do dzieci żalu, ni urazy. Charakter jego musi być wyrobiony.

Dla każdego nauczyciela niezbędną jest **stanowczość** i zdecydowanie. Powinien mieć coś z wodza. Jest przyjacielem młodzieży, ale zarazem jej zwierzchnikiem. Młodzież sama ceni tych, którzy umieją wymagać i utrzymać karność, lekceważy zaś pobłażliwych i słabych.

Pomimo iż nauczyciel musi zachować postawę czynną, umieć nakazać i kierować, i często rozstrzygnąć, jednakże obowiązkiem jego jest **nie narzucać swej osobowości**. Musi dobrze czuć granice swego autorytetu. Jednostki skłonne do megalomanji, a ponadto żadne władzy są w zawodzie nauczycielskim niebezpieczne, tem bardziej, że skłonność ta będzie mogła łatwo się potęgować. Bardzo niepożądaną właściwością jest władczość, chęć zagarniania pod swój wpływ, naganianie jednostek słabszych i bierniejszych, choćby dla najlepszych celów. Dziecko ma być wychowane i pokierowane a nie „urobione“ na czyjąś modłę kosztem własnych dążeń i uzdolnień. Zwłaszcza jednostki silniejsze muszą się pilnie

wystrzegać takiego moralnego opanowywania młodzieży. Oczywiście wpływ wychowawczy, nawet bardzo osobisty, ale nie narzucający się przemocą, jest czemś zupełnie innym i bardzo pożądanym.

Wreszcie cechą każdego nauczyciela powinna być **obiektywność** sądu i wypływająca z niej sprawiedliwość. Jest to tak jasne, że nie wymaga uzasadnienia.

Najogólniej więc ta właśnie równowaga pomiędzy żywym usposobieniem, a opanowaniem charakteru, wrażliwość połączona z obiektywizmem, stanowczość i poczucie odpowiedzialności ze świadomością potrzeby ograniczania swej interwencji i swego autorytetu, oto najistotniejsze cechy moralnego charakteru nauczyciela.

A obok tego wszystkiego, przyszły nauczyciel musi **wie-  
rzyć w wychowanie**.

Musi mieć przekonanie o celowości i skuteczności tej pracy, musi mieć dla niej żywy gorący zapał i zarazem zdecydowaną chęć służby społecznej.

Z. A. Wołowska

J. R. Gietling

## S M U T E K

*Bardzo to było dziwnie —  
księżyc zeskoczył na biurko,  
i gwiazdy-płomyki krzywe,  
spadając czyniły turkot.*

*Słowa wstawały przedemną  
i księżyc wprost patrzył się w oczy —  
Mówiłem—mówiłem daremnie—  
— a księżyc na biurko zeskoczył.*

*Kometa gwizdnęła złociście,  
bluznęła światłem przez szyby,  
sypnęły się iskry, jak liście—  
— Jesień... i wiatr silny przybył.*

*Potem ktoś oczy mi zakrył,  
potem ktoś światła pogasił—  
Młody ja jestem, czy stary —  
ciemnością ktoś mię przestraszył,*

*Jakgdyby jarmark zamknęło:  
niema księżycza i gwiazd—  
a było tak jasno... pamiętam.  
Było tak jasno... raz.*



# GILBERT KEITH CHESTERTON

Nazwisko wielkiego pisarza-myśliciela i jednocześnie gożącego przyjaciela Polski nie brzmi już u nas obco, nie jest nieznane. Ale, jeśli się zważy, że silny ten człowiek tak dzielnie i z tak wielką znajomością rzeczy bronił i broni naszej sprawy wobec społeczeństwa angielskiego, to musi u nas na tę myśl powstać poczucie obowiązku pełniejszej wiedzy o poglądach i twórczości Chestertona.

Jak wspominałem wyżej, Chesterton jest człowiekiem silnym. Dowody wielkiej siły charakteru składa od początku swej działalności literackiej i publicystycznej, która już trwa przeszło lat trzydzieści. Zawsze jednakowo niepodległy wpływom otoczenia, ukazuje najważniejsze zagadki ludzkiego bytu w świetle swoich genialnych paradoksów, zawsze gotów do walki o ideę, którą się pasjonuje, nie zastanawia się, ani nie oblicza, na ilu zwolenników może liczyć. Pisarz ten jest przede wszystkim bojowcem, niektórzy nawet twierdzą, że ma w sobie coś z atlety. Różnego rodzaju walka jest jego ulubionym motywem literackim, atmosfera walki przenika prawie wszystko, cokolwiek wychodzi z pod jego pióra. Ale w każdym starciu Chesterton umie uszanować poglądy przeciwnika. Walczy, bo w walce zyskuje się najwyższe dobro, ale jednocześnie jest to poeta, zachwycony pięknnością świata, pełen tak wielkiej radości, że nawet myśl o śmierci zniszczyć jej nie może, poeta, który znajduje piękno przede wszystkim w tem, co małe i codzienne.

Wśród poruszanych zagadnień najważniejsze są dla niego kwestje religijne. Kwestje te wiążą się ściśle z jego przeżyciem osobistym. We wczesnej młodości był Chesterton bezwyznaniowcem. Czytał dużo, studiował różne kierunki filozoficzne. Tak mówi o tych czasach dr. Wacław Borowy w swym studjum o Chestertonie: „Własną pracą myśli, przez toczone z samym sobą dyskusje nad dziełami wybitnych sceptyków i wolnomyślicieli, zaszedł na stanowisko, które uważał za skrajnie indywidualne, a które, jak nagle sobie uprzytomnił, było stanowiskiem teologii chrześcijańskiej“. Wielki pisarz tak odtwarza te chwile. „Wybiegałem ze swojej pracowni niby architekt z planem nowej wieży i okazywało się, że wieża ta stoi już i bliższy w słońcu od tysiąca zgórą lat“. Odtąd kształtując się powoli i pogłębiając jego chrześcijański światopogląd. Z początku był jeszcze Chesterton bliski pragmatyzmowi (James), ale od r. 1908 zajęte przez niego stanowisko da się określić jako katolickie. Jednak przez czas dłuższy Chesterton nie porzuca anglikanizmu, badając zasady religii, której jeszcze nie wyznaje. Aż dopiero w r. 1922 przyjął katolicyzm.

Od chwili, w której przestał być ateistą, z radosnym zapalem głosi swoje odkrycia: chrześcijaństwo czyni zadość duchowym potrzebom natury ludzkiej, tłumaczy zagadki świata, daje potężne pobudki do działania, daje nadzieję i, co najważniejsze, jest prawdą. Dowodów na to dostarcza mu intelekt, ale nie ten dumny rozum, który był fundamentem filozofii racjonalistycznej i uznawał tylko to, co sam mógł poznać, ale ten, który pojmuje istnienie czegoś, co go przewyższa i czego nie może ogarnąć. A więc dla Chestertona niema walki między rozumem i wiarą. Stwierdza to niejednokrotnie. Wobec tego mógłby się komuś wydać dziwny jego stosunek do nauki. Na pierwszy rzut oka wygląda to na walkę. Nie brak w jego utworach złośliwych wycieczek przeciw uczonej i ich wiedzy. Naprz. w jednej ze swoich powieści p. t. „Kula i krzyż“ mówi: „Świat wiedzy i ewolucji jest bezimienny, więcej zwodniczy i bardziej podobny do snu, niż świat poezji i religii. W tym bowiem świecie obrazy i myśli pozostają wiecznie sobą, tylko świat ewolucji dąży do tego, by wszystko spletało się z sobą jak w zwidzie sennym“. Ale to nie jest walka z samą nauką. Chesterton walczy z tymi, którzy popularyzują wielkie hipotezy naukowe i podają je szerokiemu ogółowi w formie niewzruszanych pewników. Przede wszystkim zwraca się przeciw popularyzatorom ewolucji teorii Darwina o pochodzeniu człowieka od małpy. Dużo

miejsca poświęca tej kwestji w dziele p. t. „Wieczysty człowiek“. Oburza go, że na podstawie szczątków wykopaliskowych, paru kości, co do których nie jest wiadomo, czy należały do przedstawiciela tego samego gatunku, odtwarza się szczegółowo wygląd i budowę rzekomych dalekich przodków dzisiejszej ludzkości. Oburzeniu swemu daje wyraz w złośliwych słowach, że „ten i ów profesor z kością staje się prawie tak niebezpieczny, jak pies z kością“. Bo to jest dla Chestertona fałszowanie rzeczywistości, a tego czynić nie wolno, ani w imię nauki, ani w imię wiary w przeczcucia, w klątwy rodowe, w niesprawdzone cuda i zjawy, we wróżby, wyrocznie, czyli, krótko mówiąc, w imię zabobonu. Z tem również wytrwale walczy Chesterton. Nawet w cyklu sensacyjno-kryminalnych powiastek czyni to jego ulubiony bohater, Ojciec Brown. W „Niedowiarstwie Ojca Browna“ tak mówi o tego rodzaju zwodniczym stanowisku: „Pierwszym skutkiem tego, że nie wierzycie w Boga, jest to, że tracicie zdrowy rozsądek i nie możecie widzieć rzeczy tak, jak są. Wszystko, o czem ktokolwiek powie, że „coś w tem jest“, rozciąga się bez końca, jak perspektywa w gorączkowym widzeniu; wtedy pies staje się wyrocznią, kot — tajemnicą, świnia — fetyszem, a chrząszcz — skarabeuszem“. Ale jeśli by w tę znaną, uporządkowaną rzeczywistość wtargnęły naprawdę siły nadprzyrodzone, zmieniając działanie praw natury, to człowiek powinien po odpowiednim zbadaniu tego faktu uznać go za prawdziwy (Magja).

Tak patrzy Chesterton na te ważne sprawy, gdyż u podstaw jego światopoglądu leży umiłowanie prawdy.

Jest zrozumiałe, że człowiek o tak żywej inteligencji i olbrzymim zapasie energii nie mógł się trzymać zdala od życia politycznego. Żadna z partyj, ani żaden z ich organów prasowych, istniejących oddawna na gruncie angielskim, nie odpowiadały jego przekonaniom. Swoje poglądy społeczne wsparł o dewizę Rewolucji francuskiej: Wolność, Równość, Braterstwo. Zarówno marksowski socjalizm, jak i kapitalizm uważa Chesterton za błędne i niebezpieczne. Od r. 1925 stworzył własny tygodnik, nazwany od pierwszych liter jego imienia G-K's Weekly. Przy piśmie tem zawiązała się „Liga dla zachowania wolności przez odnowienie własności“. Dąży ona do decentralizacji w rolnictwie, przemysle i handlu przez świadome współdziałanie drobnych posiadaczy. Żąda więc przeprowadzenia w Anglii reformy rolnej (niema tam wcale włościan małorolnych) i reorganizacji przemysłu oraz handlu w duchu średniowiecznego systemu cechowego. Dążenia te idą po linii ideologii Chestertona, który poświęca im wiele czasu i talentu, szerząc piórem i słowem poglądy dystrybucjonistów. Posiadanie własności niezależnia człowieka i zapewnia mu wolność — oto myśl przewodnia jego działania.

Jeśli chodzi o zewnętrzną politykę Anglii, to Chesterton potępia stanowczo kierunek germanofilski, jak również jej niechętnie stanowisko wobec Polski. Polską interesował się oddawna. Jej rozbiór, dokonany przez trzy mocarstwa, uważał zawsze za zbrodnię. Zachwyca go polski heroizm i wielkoduszność. Polska to — według Chestertona — bardzo ważny czynnik pokoju w Europie. Jednocześnie ceni wysoko Polaków jako jedyny naród, który zadał bolszewizmowi rzeczywiste klęski. W r. 1927 przebywał przez kilka tygodni w Polsce, zapoznając się z zabytkami naszej kultury.

Chesterton jest wielostronny, przejawy jego działalności są tak bardzo różnorodne, jednak przede wszystkim — to myśliciel i poeta. Wydał szereg dzieł z zakresu religii, filozofii życia, historii i polityki. Również jest autorem wielu monografij historyczno-literackich; do tych należy piękne studjum o Karolu Dickensie, niedawno przetłumaczone na język polski. W r. 1900 ukazał się pierwszy zbiorek liryków Chestertona p. t. „The Wild Knigh“ (Szalony rycerz). Odtąd wśród książek myśliciela zjawiają się co czas pewien na półkach księgarni jego poezje, które odznaczają się tak wielkim i oryginalnym artystycznym, że niektórzy krytycy angielscy uwa-

żają Chestertona za największego poetę naszego wieku. Teraz należy wspomnieć o jego twórczości powieściopisarskiej. Powieść jest dla Chestertona allegorycznym wykładnikiem pewnej idei. Dlatego często zadziwiają nas nieprawdopodobne, lub wprost fantastyczne sytuacje, w jakich się znajdują jego dziwni bohaterowie. Chestertonowi nie chodzi wcale o odtworzenie rzeczywistości. Zainteresuje nas oryginalną koncepcją powieści czy ideą, musimy podziwiać niezwykle porównania i śmiałe paradoksy, ironię i cudowny śmiech chesteronowski, ale nie znajdziemy tu malowidła obyczajowego, drobiazgowej analizy psychologicznej czy też choćby większej indywidualizacji postaci. Niektóre powieści Chestertona ukazały się w języku polskim: „Napoleon z Notting Hill“, „Człowiek, który był Czwartkiem“ zatytułowana w przekładzie „Delegat anarchistów“, „Kula i krzyż“ oraz „Powrót Don Kiszota“. Ciekawe charaktery, które trudno znaleźć w jego powieściach dał nam w sztukach teatralnych „Magji“, niedawno wystawionej w Warszawie i „Sąd dr. Johnsona“. Najniższe

miejsce w hierarchji twórczości Chestertona zajmują jego sensacyjne nowele. Jednak wszystkie te historie, w których rolę detektywa spełnia Ojciec Brown, oprócz wątku, którego rozplątywaniem bawi się czytelnik, mają oryginalne, chesteronowskie powiedzenia i również służą jakiejś idei. To je stanowczo uszlachetnia. Zresztą niepozorny ksiądz katolicki, Ojciec Brown, jest, jak słusznie zauważono, najbardziej ludzką postacią w galerji Chestertona.

Z powodu braku miejsca musimy się zadowolić tym krótkim przeglądem twórczości angielskiego pisarza. O jej całokształcie tak mówi dr. Waław Borowy w swoim studjum o Chestertonie: „Wszystkie te dzieła i prace, tak rozmaite gatunkowo, tak nierównomierne pod względem wartości literackiej, łączy i zespala, bujna i bogata, ale jednolita zawsze i konsekwentna indywidualność autora. Najślabsze z nich nawet budzą zazwyczaj wrażenie obecności czegoś, co je przerasta“.

Dr. M. K.

•••••

## NA DALEKIM POŁUDNIU

Byrd wrócił. Radośnie przywitały go Stany Zjednoczone, których ziemia zrodziła tak dzielnych synów, bohaterstwem rozjaśniających blask gwiazdzonego sztandaru swej ojczyzny. I nie tylko same pobudki idealne kierują temi przeżyciami; jak wiadomo Byrd wszystkie tereny na Antarktydzie, które zbadane zostały przez członków jego wyprawy, ogłosił jako posiadłości Stanów Zjednoczonych, opierając się na utartym zwyczaju w stosunku do ziem nowoodkrytych. To posunięcie Byrda zahaczyło mocno o interesy Anglii, która korzystając częściowo z przedwojennego braku praktycznego

i 80° dług. zach., to znaczy Południową Georgję, Południowe Orkady, Południowe Szetlandy, Południowe Sandwicze, kraj Grahama i całe obramowanie morza Weddella. Ostatnio w r. 1923 rząd nowozelandzki objął w posiadanie okolice otoczenia morza Rossa i Ziemię Wiktorji między 150° dług. zach. i 160° dług. wsch. włączając w te obszary również i biegun. Te posunięcia rządów brytyjskich przyłączyły do posiadłości wszechświatowego mocarstwa kolonialnego obydwie bramy Antarktydy, nie mówiąc o olbrzymich terenach łożwieckich, w których posiadaniu zainteresowane są również



Lodowce  
Antarktydy

zainteresowania innych państw w posiadaniu dalekiego i na razie nieużytecznego kontynentu, już w roku 1908 ogłosiła część terytorjów Antarktydy za własność Brytyjską. Po wojnie światowej, która w tak wysokim stopniu przyczyniła się do wzrostu potęgi i wpływów Wielkiej Brytanji, rząd angielski, korzystając z tej okoliczności, że w posiadaniu jego kraju są najbardziej do Antarktydy zbliżone części innych kontynentów lub też wyspy (Tasmania, Afryka Południowa, Folklandy), poddał swej jurysdykcji w roku 1917 wszystkie ziemie położone na południu od 58° szer. pld. a między 50°

inne narody, a przede wszystkim Norwegja, mająca do Antarktydy nie byle jakie prawa, przysługujące wedle utartego zwyczaju odkrywcom nowych ziem przed odkryciem do żadnego państwa nie należących.

Warto przypomnieć sobie tutaj w krótkich zarysach dzieje zmagañ myśli i woli ludzkiej z napotężniejszym żywiołem.

Pierwszym Europejczykiem, który zetknął się z antarktycznym światem podbiegunowym, był wielki angielski żeglarz wieku XVIII James Cook; lecz niestrudzony ten pod-

różnik nie dotarł bynajmniej do właściwych wybrzeży lodowatego kontynentu, osiągając zaledwie szerokość archipelagu Południowych Sandwichów. Pzez całe półstulecie po wiekopomnych podróżach Cooka wody Antarktyki zwiedzane były jedynie przez chciwych zarobku łowców zwierzyny morskiej, zwabionych niesłychanym bogactwem faunistycznym mórz południowych. Przedsiębiorczości tej zawdzięczamy odkrycie całego szeregu wysp (Płdn. Orkady, Płdn. Sztlandy, Palmera i t. p.) a głównie pierwsze wiadomości o wybrzeżu antarktycznego kontynentu, do którego w kilku punktach zdołali dotrzeć odważni marynarze, pozostawiając wieczną o swych czynach pamiątkę w nazwach krajów spotykanych (Ziemia Grahama, Enderby, Kempa, morze Weddella i inne).

Pierwszą w tych niegościnnych okolicach wyprawą naukową była ekspedycja wysłana przez rząd rosyjski w latach 1819—1821 pod dowództwem Bellinghausena i Łazarewa, która opływając Antarktydę dokoła, napotkała ziemię Aleksandra I i wyspę Piotra I.

Po kilkunastoletniej przerwie, a mianowicie w latach 1838—1843 wśród lodów południa znajdują się trzy ekspedycje naukowe. Amerykańska wyprawa Wilkesa, płynąca na południe od Afryki, natknęła się na parę tysięcy kilometrów ciągnące się wybrzeże; nosi ono dotychczas imię kierownika tej wyprawy. Wyprawa francuska pod wodzą Dumont d'Urville'a przywiozła wiadomości o ziemi Ludwika Filipa na wielkim półwyspie Zachodniej Antarktydy. Rewelacyjnymi natomiast były wyniki świetnie w środki techniczne wyposażonej wyprawy angielskiej pod dowództwem słynnego już wówczas badacza mórz północnych, Jamesa Rossa; odkrycie olbrzymiej zatoki morskiej na południe od Tasmanji, zamkniętej w głębi potworną barjerą lodową, zwana Przedmurzem Rossa, ze wschodu zaś ograniczonej ponad 4000 metrów sięgającymi górami ziemi Wiktorji, a zawierającej wśród fal swoich wyspę, ozdobioną Erebusem i Terrorem, wulkanami o iskrzących od lodów stożkach, stanowiło najwspanialszy dorobek tej znakomitej wyprawy, która zdołała dotrzeć aż do 78° szerokości południowej.

Po tym krótkim okresie energicznych badań następuje znów półwiekowa przerwa, wypełniona jedynie przygodnymi obserwacjami zabłąkanych podróżników, zdążających do innych celów. Nową falę badań antarktycznych, która nie osłabła aż do dni naszych, podjęła Belgja, wysyłając w roku 1897 pod dowództwem kapitana A. de Gerlacha słynną odtąd „Belgikę”, wiozącą na swym pokładzie dwóch młodych Polaków, obecnie powszechnie znanych uczonych: H. Arctowskiego i A. B. Dobrowolskiego. Wyprawa ta dostarczyła nauce dużo nowych danych o wybrzeżu Zachodniej Antarktydy i omywającym je oceanie, głównie zaś niezmiernie ciekawe wiadomości o panujących w tych dalekich okolicach stosunkach atmosferycznych. Bezpośrednio po tej wyprawie Norweg Borchgrewink wdarł się na Wielkie Przedmurze Rossa i sankami dotarł po jego powierzchni do 78°50 szerokości południowej.

Podczas międzynarodowej akcji badawczej w latach 1901—1905 Antarktyda zostaje atakowana ze wszech stron przez Anglików, Szkotów, Niemców, Szwedów i Francuzów wedle zgóry obmyślonemu planu. Rezultatem tej kampanji było odkrycie ziemi Wilhelma II na wschodzie, i wybrzeża Coatsów na morzu Weddella, jak również zbadanie ziem Wiktorji i Edwarda VII, Przedmurza Rossa, oraz wielkiego półwyspu Antarktydy Zachodniej i przylegających do niego wysp.

W dalszych badaniach południowego kontynentu Anglicy niewątpliwie przodują: nowa podróż w roku 1908 kierownika poprzedniej wyprawy angielskiej Scotta odsłania wiele tajemnic ziem, okalających morze Rossa; równocześnie Shackleton dociera lądem do 88°23 szerokości południowej, t. j. do punktu oddalonego od bieguna o paręset niespełna kilometrów. Wysyłając ponownie zasłużonego w walce z żywiołem polarnym Scotta na zdobycie bieguna, Anglicy są już pewni zwycięstwa, kiedy brawurowa wyprawa Amund-

seny wyprzedza Brytów o pięć tygodni i zatykając na biegunie w dniu 14 grudnia 1911 roku flagę norweską, wyrzyna Anglji zaszczyt pierwszeństwa. W późniejszych wyprawach, które były aż do czasów wojny światowej podejmowane w celu dalszego odsłonięcia tajemnic antarktycznego lądu, biorą udział przedstawiciele wielu nacji, lecz ster nadal pozostaje w rękach angielskich: druga wyprawa Shackletona do morza Weddella, podróż Australczyka Mawsona w głąb ziemi Wiktorji i Dawisa do ziemi królowej Mary są tego wymownym dowodem.

Wielka wojna światowa, której grozę jedne narody przypłaciły utratą swej potęgi, a której inne znów zawdzięczają swoje odrodzenie i rozkwit, na dłuższy czas oderwała myśl ludzką od pracy nad wydarciem przyrodzie jej wielkich tajemnic. Dopiero kiedy ucichły odgłosy burzy wojennej, oczy żądne czynu skierowały się znów ku najbardziej niedostępnym przestrzeniom polarnym. We wznowionych po wojnie badaniach Antarktydy po raz pierwszy udział biorą Amerykanie, którzy, przystępując do sprawy z właściwą tej nacji praktycznością i pomysłowością techniczną, oparli swe badania na używaniu samolotów. Posługując się samolotem, kapitan Wilkins dokonywa w grudniu 1928 roku rewelacyjnych odkryć w okolicach ziemi Grahama; odważny zdobywca północnego bieguna w drodze powietrznej, kom. Byrd, odsłania coraz to nowe tajemnice olbrzymich obszarów, ogłaszając równocześnie zbadane przez się tereny jako posiadłości Stanów Zjednoczonych A. P.

Nawet z tak pobieżnego szkicu łatwo jest wywnioskować, że niewątpliwie Anglicy położyli największe zasługi przy poznawaniu legendarnej ongiś „Terra Australis”, lecz nie mieli oni szczęścia w zdobyciu pierwszeństwa ani w rozpoczęciu naukowego badania dalekiego lądu (Bellingshausen), ani też we wznowieniu wypraw po półtorawiekowej przerwie (Belgię), ani wreszcie w zwycięstwie nad samym biegunem południowym (Amundsen).

Łatwemu przyłączeniu nowych terytoriów zdobytych wspólnym wysiłkiem wielu narodów, bez wątpienia sprzyjała decydująca rola Wielkiej Brytanji w międzynarodowych stosunkach powojennych, niepodobieństwem jest jednak uznać



Lodowce Antarktydy.

to przywłaszczenie za oparte na prawie zwyczajowym, sprawiedliwości i uznaniu zasług nacyj współpracujących na tych terenach.

Obecnie zaś wysuwane przez Anglię w sporze o przy należność odkrytych przez kom. Byrda ziem argumenty świadczą jedynie o niezgłębionej dumie i niezłomem poczuciu swych odwiecznych przywilejów w sprawach, dotyczących mórz i kontynentów po za granicami Europy położonych. Nie sposób przecież na serjo traktować Antarktydę, kontynent o powierzchni 14 milionów km.<sup>2</sup> przewyższającej półtora niemal raza powierzchnię Europy, jako małą, zabląkaną śród fal oceanu wysepkę.

Kiedy byłem prawie w tym samym wieku, w jakim jesteście obecnie Wy, moi Czytelnicy, otrzymałem na gwiazdkę książkę Juljusza Vernego, p. t. „Podróż kapitana Hatterasa do bieguna północnego”. Był to okres, kiedy świat naukowy i całe myślicie społeczeństwo przeżywało emocje wielkopomnych wypraw Fritjofa Nansena, jego gigantycznych zmagani z przyrodą polarną, której moce zdawały się być niezwyciężone.

Dla Was nie istnieje już pojęcie krainy nieznanej, niedostępnej, co najwyżej „niezbadanej jeszcze”, lecz w każdym razie dla badacza dostępnej. Cała kula ziemiska nie przedstawia już dla was tajemnicy i z pewnością dożyjecie do tych czasów, kiedy „zwiedzenie” tego, czy innego bieguna będzie uzależnione od posiadania jedynie dostatecznego zapasu wolnej gotówki po uprzednim gruntownym obznajmieniu się z pięknem krajobrazu polarnego na ekranach kinowych, z odgłosem burzy śnieżnej przez głośniki radjowe.

Treścią książki Vernego, jak widać z tytułu, były przygody fantastycznej wyprawy odważnych marynarzy ku tak upragnionemu punktowi kuli ziemskiej, wyprawy, która się skończyła zwycięstwem człowieka, przyplaconem jednakowoż utratą rozumu. Jak wszystkie dzieła Juljusza Vernego, książka ta była odbiciem współczesnych jej powstaniu teorii i domysłów, dotyczących krajów podbiegunowych. To też stosownie do tych kapitan Hatteras po przebicciu się przez potworny pierścień pływających lodów dociera do wolnego morza, otaczającego biegun, nad którym wznosi się wyspa, ozdobiona olbrzymim wulkanem. Obecnie, kiedy wiemy dobrze, że biegun północny leży na skutych skorupą lodową wodach morza arktycznego, dziecinną fantazją wydaje się nam ów groźny

wulkan, niewiadomo po co mający zdobyć północny koniec osi ziemskiej.

Nie z racji jednakowoż tych nieco śmiesznych obecnie fantastycznych domysłów, przypomniała mi się owa książka Juljusza Vernego: na tle śmiertelnej walki z przyrodą występuje tam nieuginająca się nawet przed największym niebezpieczeństwem rywalizacja dwóch synów rasy Anglo-saskiej — kapitanów Altamonta, Amerykanina i Hatterasa Anglika, których los zetknął wśród pustyni lowodej po doznanych przez obydwoh klęskach. Zmyślone postacie tych bohaterów odzwierciadlały ówczesną walkę dwóch wielkich narodów o zaszczyt pierwszeństwa w zdobyczach naukowych na morzu Arktycznym; po półwiekowym okresie walka ta gotowa jest wybuchnąć nowym płomieniem, ale tym razem z daleko mniej szlachetnych powodów. Jak na razie Antarktyda niezdatna jest do jakiegokolwiek wykorzystania przez człowieka, ale... nikt nie może przewidzieć jakie bogactwa kryją się pod jej lodowatą powłoką. Wiadomo, że Shackleton napotkał pod 85° szer. pld. pokłady węgla kamiennego o miąższości do dwóch z górą metrów; a przecież obecnie zapasów tego niezbędnego dla rozwoju cywilizacji minerału wedle przewidywań nie na długo starczy.

Ciasny staje się glob ziemski, a zachłanność ludzka wciąż rośnie, zaostrza się walka o każdy szmat powierzchni, nawet do zamieszkania niezdatnej i bardzo, bardzo niedaleka chwila, kiedy nie zostanie ani jednego morga „niczyjej” ziemi; a wtenczas myśl ludzka skieruje się w zaświaty na podbój nowych, nieznanych i niezmiierzonych przestworzy, gdyż nie istnieje moc, któraby złamała myśli ludzkiej skrzydlatą potęgę.

P. Ordyński.

---

## Czas odnowić prenumeratę na miesiąc maj

---

## Swoi posród obcych

Jak świat długi i szeroki wszędzie nas pełno. Siedem milionów najtęższych, najbardziej przedsiębiorczych ludzi, mówiących i czujących po polsku, pracuje, cierpi biedę, weseli się lub częściej smuci wśród drapaczy nieba Stanów, posród szerokich stepów Kanady, wśród tropikalnych upałów centralnej Ameryki, Brazylii, Peru, na pampasach Argentyny, wśród gór Chili i Boliwji, na niezmiierzonych przestrzeniach Afryki centralnej, posród gąszcza ludzkiego w Azji, jednym słowem — wszędzie. Nie dziwiłbym się, gdyby niedźwiedz polarny uraziwszy się w łapę o brzeg ostrej kry, zamiast ryknąć, zaklął... „psiakość”. Pokrewieństwo z błogosławionej pamięci Baską Murmańską obowiązuje, a na koniec mógłby akurat zjeść na śniadanie jakiego polskiego emigranta...

Świat więc jest pełen smutku, łez, krwi, słońca i... Polaków. Za onem słońcem włóczę się tam i sam, zaglądam do wszystkich dziur, byle tylko odetchnąć szeroko, szeroko choć raz, byle wygrzać się wśród ciepłych promieni i spojrzeć w przestrzeń nie po przez mgły i kurtynę deszczową. Tak się jakoś złożyło, że zawadziłem o ziemię cudów i kontrastów, o ziemię słońca, upałów, znoju i wytchnienia, o Mah-reb tajemniczy — Marocco.

Z Casablanki, cudownej Gdyni francuskiej Afrykańskiego wybrzeża pomknąłem samochodem przez Maragan, wspinałem Safi i, odwróciwszy się od morza, zagłębiłem się w pustynny kraj Rehamna.

‘Czwarty dzień byliśmy z towarzyszem już w podróży, zmęczeni nadmiarem blasków, zakurzeni i brudni. Droga do Safi była najbardziej nużąca. Pustynne wzgórza, nagie i bezludne, o szaro-żółto czerwonych monotonnych refleksach barwnych. Dopiero od gór Dżebilet krajobraz się ożywił, a droga zaczęła się wic w niezliczonych serpentynach i zakrętach. Nie mniej jednak była to tylko odmiana pustyni, gorącej, ponurej, wrogiej.

Na wąskiej, czarnej makkadamowej szosie spotykaliśmy od czasu do czasu przepełnione autobusy, które mijały nas z krzykiem ciemnych pasażerów. Od czasu do czasu mignęło prywatne auto jakiegoś marokańskiego Naba-ba, który otulony szczelnie w biały burnus, dziwnie nie harmonizował ze swoją maszyną.

Na grzbietach maleńkich osiołków siedzieli poważnie drobni kupcy i pątnicy, a drepcące na piechotę kobiety, na widok pędzącego samochodu, wyciągały w kierunku maszyn rozwarłe dłonie i szeptały zaklęcia: „Lek kum finek” — pięć palcy tobie w oko, o złe!

Im bliżej południa, tem skwar stawał się coraz bardziej nieznośny. Lakier maszyny parzył przy dotknięciu, a od motoru buchało gorącym, niby od pieca.

Nagle wyjechaliśmy na szczyt przełęcz Dżebilet. Zatrzymałem maszynę i spojrzałem w dal. Kolorowo, kolorowo! Przed nami rozciągała się szeroka, płaska, żółto-czerwona dolina Haonz. Dalej zamykały widnokrąg potężne, nieba się

# NA MARGINESIE NASZEJ KULTURY

**Kultury epok ubiegłych, — a kultura współczesna. Współpraca międzynarodowa astronomów. Laureaci Nobla Hopkins i Eijkmann. W poszukiwaniu witamin. Odkrycie dra Nosziwaru. Cechy współczesnej kultury. Człowiek współczesny — a „człowiek natury“. Ideowe podstawy współczesnej kultury. „Kulturträgerzy“ na Wenus i Marsa.**

Każda epoka ma swoje symbole, swoje ideały i swoje pomnikowe dzieła, które trwając wieki, świadczą przyszłym pokoleniom o kulturalnych zdobyczach przodków.

Symbolem praczłowieka jest siekiera kamienna, którą pradziadowie nasi dokonali pierwszego wylomu w gigantycznych przeszkodach przeciwstawiających się ludzkości na drodze kultury i cywilizacji. Słońce Hellady obdarowało nas ukochanie piękną, pogodą ducha i zrozumieniem wewnętrznej harmonii praw kierujących mikro- i makrokosmosem. Średniowiecze nauczyło nas duchowej kontemplacji, ześrodkowywania naszych pragnień na celach pozaziemskich, a w architekturze gotyckiej pozostawiło nam pomnik swej dążności wznieśnięcia się z nizin doczesności do wyżyn podniebnych.

Epoka nasza jakież stawia symbole?

Jakże często słyszymy skargi na ogólny upadek kultury, cechujący jakoby naszą epokę. Żalimy się, że w mgłę przeszłości zniknęły dawne zasady i autorytety, że oświadczył nami jakiś dziwny, a przemożny pęd do wyzwalania się z pod wpływu wszelkich kanonów i dogmatów regulujących dotąd tryb naszego życia, że młodzież nasza niechętnie uznaje autorytet starszych. Owa dążność do wczesnego usamodzielniania się, nieuwzglębianie starych, „wypróbowanych“ zasad, szukanie własnych dróg najmocniej nas może razi i staje się często przyczyną, że uważamy młode pokolenie za przesiąknięte — przynajmniej podświadomie — hasłami bolszewickimi.

Bogu dzięki takich pesymistów jest z dnia na dzień mniej. Zaczynamy rozumieć, że krytyki stosunków dzisiejszych nie można rozpoczynać stereotypowym wykrzyknikiem: „Za naszych czasów...!“ Porównanie współczesnej kultury z kulturami ubiegłymi jest trudne, gdyż nasza kultura zasadniczo różni się od wszystkich kultur poprzednich. Kultura współczesna jest pierwszą kulturą naukowo-techniczną i z tego

gające góry wysokiego Atlasu, na których szczytach raził' oczy bielą blasków — śnieg. Boże, śnieg!

U stóp zaś gór niebo przeglądało się w tafli jeziora, otoczonego bukietem zieleni drzew i bielą domów piętrzącego się groźnie miasta. Marakesz — perła Mahrebu, żrenica światła i chwała władców Mauretacji.

Zapatrzyliśmy się obaj na ten obraz nieporównany, gdy z olśnienia zbudziły nas ostre słowa komendy. Francuskie Alt! zaświdrowało w uszach, że drgnąłem. Długi wąż piechoty zatrzymał się w cieniu niedalekich skał. Broń ustawiono w kozły, a z pleców spadały tornistry. Niebawem szaro niebieskie spodnie i białe szare kurty gęstym tłumem zaległy cieniste miejsca. Oficerowie zsiadli z koni i przykucnęli pod jakimś załomem. Wielu żołnierzy rozłożyło się na samym brzegu wąziutkiej szosy, która w tem miejscu przemykała się przez wąski przesmyk skalny.

Zatrąbiłem i ostrożnie zacząłem wymijać wąż tornistrów. Jeden z żołnierzy wstał i beztrasko wyszedł na środek drogi. Chcąc go wyminąć, lekko skręciłem i zawadziłem tornistry, które z chrobotem stoczyły się na leżących nieco poniżej żołnierzy.

— Sacre bleu! Donner Weter! Good dam! Caramba! — posypał się grad przekleństw całego świata, lecz niby muzyka cudowna, niby śpiew anielski zabrzmiało mi drogie, kochane, a po całym świecie rozsiane: „psia krew, tam do licha!“

To był początek znajomości i początek godzinnej przy-

to powodu stanowi niemal dokładną antytezę kultur antycznych.

Ubiegłe kultury nosiły charakter narodowy i wobec tego terytorjalnie obejmowały małą część tylko naszego globu. W starożytności największy obszar obejmowała kultura grecko-rzymska, daleko jej było jednak do objęcia całej kuli ziemskiej. Idea chrześcijańska pierwszy raz wysunęła na horyzont historii myśl połączenia całej ludzkości pod jednym hasłem. Niestety, tej właśnie zasadniczej myśli ogólnoludzkiej średniowiecze nie zrealizowało.

Kultura współczesna obejmuje cały glob. Na Szpitzberkach urządziliśmy kopalnie węgla, w Islandji i Toskanji pędzimy maszyny nasze ciepłem wnętrza Ziemi, w Ameryce pocziwa Niagara ogrzewa i oświetla szereg wielkich miast, a na biegunie południowym Byrd i jego towarzysze zadomowili się na dobre. Wokół zaś całej kuli ziemskiej fale radjowe tworzą silny łańcuch, łączący całą ludzkość.

Ze zdobyczy ubiegłych kultur korzystały tylko warstwy uprzywilejowane. Do rzymskich term uczęszczali tylko patrycjusze i tylko oni żyli „kulturalnie“, 99% ludzi, aż do początku przeszłego stulecia żyło w warunkach niegodnych, urągających pojęciom współczesnej kultury.

Nędzę i niechlujstwo i dzisiaj jeszcze spotykamy, bez porównania jednak rzadziej. Ze zdobyczy kultury naszej korzystają wszystkie warstwy społeczne. Mało naprzykład jest dziś ludzi na świecie, którzyby od czasu do czasu nie uczęszczali do kin. Wogóle — dziesiąta muza, córa techniki, kojarząca w swoich świątyniach wszystkie warstwy społeczne, świadczy najdobitniej może o ogólnodemokratycznym charakterze naszej kultury. Demokratyczny i ogólnoludzki charakter kultury współczesnej jest zresztą wynikiem jej natury naukowej i technicznej. Postęp nauki byłby niemożliwy, w każdym bądź razie następowałby bez porównania wolniej, gdyby każdy naród starał się zdobyć swych uczonych utrzymywać w tajemnicy.

Czyż Newton i Leibnitz odkryliby rachunek różniczkowy, gdyby Roberval, Fermat, Cavalieri i inni nie dokonali badań wstępnych, gdyby opublikowaniem swych dzieł nie przygotowali nauki na przyjęcie tych genjuszy? Czyż Hertz odkryłby fale elektromagnetyczne, gdyby swego czasu Galvani i Volta

jaźni. Coś my też przez oną godzinę nie powiedzieli sobie, ile pytań nie padło, ile okrzyków podziwu, sympatji i zrozumienia. Nas 2-ch włóczęgów z zamiłowaniem z jednej strony, i ich trzech żołnierzy francuskiego legjonu cudzoziemskiego w Maroccu — Stanisława Mazura, Jerzego Zambrzyckiego i Wacka Furgały.

Wacka Furgały — jasno płowego chłopca o oczach naiwnego dziecka i ustach roześmianych od ucha do ucha. Był na wojnie polsko-bolszewickiej, był w wojsku polskim sierżantem, a gdy po wojnie znalazł się znowu u ojca na roli w Ciechanowskim, jakaś go dzika tęsknota pognęła w świat. Gdzie też nie był!...

Na Kubie głodem przymierał w okolicach Hawany, próbował się szwarcować do Stanów Zjednoczonych, nie udało się — wojował w Meksyku, pływał na szkunerze wielorybniczym, pracował w kopalniach djamentów w Południowej Afryce, uciekł, szoferował w Kongo i na koniec, gdy wybuchło powstanie Ryffenów w Maroccu, zaciągnął się do francuskiej legji cudzoziemskiej.

— Nie tęskno Panu do swoich? — spytałem.

— Spojrzał na mnie zmęczonymi oczyma, uśmiechnął się swoim zwyczajem i skubiąc ucho, odparł wolno:

— Li!... Co by tak nie, to nie powiem, czasami na czełka taka zmora najdzie, ale jak świat długi i szeroki wszędzie nas Polaków pełno. Gdy już bardzo źle ze mną, pogadam



trzymali w ukryciu swe wiekopomne badania nad elektrycznością? Nie mówilibyśmy dziś o cudach fotoceli, gdyby sto lat temu Berzelius nie opublikował doświadczeń nad reagowaniem selenu na promienie świetlne.

Ileż istnieje dzieł nauki, których nigdy byśmy nie dokonali wyrzekając się współpracy kilku narodów?

W drugiej połowie zeszłego stulecia zauważyli naprzykład astronomowie pewne nieścisłości określenia szerokości geograficznych obserwatorów położonych na półkuli północnej. Przypuszczano wówczas, że w danym wypadku nie zachodzi żadna nieścisłość faktyczna w pomiarach, lecz że skorupa Ziemi wykonuje maleńkie ruchy wahadłowe, jakby ślizgając się ponad spoczywającym nieruchomo jądrem, kwestję tę mogły rozstrzygnąć tylko równoczesne skrupulatne obserwacje we wszystkich obserwatoriach. Wówczas to międzynarodowy kongres astronomów uchwalił przeprowadzenie pomiarów geodezyjnych na całej kuli ziemskiej celem wyjaśnienia zjawiska, dziś zaś możemy już zanotować pierwsze wyniki tej olbrzymiej, ogólnoludzkiej imprezy. Dowiedzieliśmy się, że skorupa naszej planety wykonuje dziwne ruchy, tak, jakgdyby się przesuwiała nad sztywną ośią ziemską, ośią trwającą w bezruchu, a raczej posuwającą się stale wraz z Ziemią równolegle względem siebie w przestrzeni.

Współpraca uczonych nieodzowna jest we wszystkich gałęziach nauki. Ostatnio przyznano nagrodę Nobla z działy medycyny dwom uczonym Anglikowi Hopkinsowi, oraz Holendrowi Eijkmannowi za prace naukowe w dziedzinie witamin. Historia odkrycia witamin jest również pięknym przykładem współpracy uczonych wszystkich narodów.

Wiele możnaby jeszcze przytoczyć przykładów międzynarodowej współpracy uczonych. Słusznie jednak można zauważyć, że nauka idzie **swoją** drogą, a opinia publiczna kieruje się według **swoich** zasad. Pragnęlibyśmy zaś, aby walory kulturalne promieniujące z wspólnej pracy uczonych wszystkich nacji, stały się dorobkiem całego społeczeństwa ludzkiego. Jeśli kultura współczesna jest naprawdę międzynarodowa, powinna dokonać tego, czego nie zdołało nawet uczynić chrześcijaństwo — upacyfikować cały świat. A jednak wiemy, że naprzykład w tak kulturalnej napozór Ameryce nienawidź białych do czarnych jest głęboko zakorzeniona. Czyż należy się spodziewać, że przykład uczonych odniesie kiedyś skutek w zachowaniu się szerokich mas społeczeństwa?

Nawet do tej sprawy zabrała się nauka. Jeśli naprawdę

tak trudno jest wyzbyć się białemu uprzedzeń do czarnego, czerwonego lub żółtego brata, czyż nie byłoby może najlepiej sztucznie pomalować murzynów, czerwonoskórych, chińczyków, wogóle wszystkie barwne narody na kolor biały? Oczywiście należałoby pomyśleć o trwałem zabarwieniu, aby pierwszy lepszy deszcz nie zniweczył naszej pracy. Zagadnieniem tem zajął się profesor uniwersytetu w Tokio dr. Nosziwaru.

Nosziwaru badał i eksperymentował przez kilka lat, aż wreszcie ogłosił światu najnowszy przebój nauki: nie będzie już czarnych, żółtych, ni czerwonych ludzi! Wszyscy będą biali!

Dr. Nosziwaru zastrzykuje kolorowym niemowlętom substancję, pod wpływem której cera ich skóry staje się nieskazitelnie białą i nie przypomina już kolorowego pochodzenia.

Nawet na głupotę ludzką znajduje więc współczesna medycyna pośrednie leki, nie mówiąc już o bezpośrednim poprawianiu przyrody w jej fuszerskiej robocie przez stosowanie rozmaitych preparatów witaminowych, względnie hormonalnych.

Powróćmy jednak, po tych dygresjach, do kośćca naszych rozważań. Mówiliśmy o zasadniczych różnicach między naszą kulturą, a kulturami ubiegłych epok.

Cechą dawnych kultur jest następnie, że opierały się przeważnie o przemoc fizyczną. Kultury rzymsko-greckiej broniły legiony rozproszone wzdłuż granic imperjum rzymskiego, Niemcy pod płaszczykiem chrześcijaństwa szerzyli własną kulturę bardzo dobitnymi metodami. Co prawda i dziś jeszcze żyjemy w erze stałych zbrojeń, coraz wybitniej jednak, jako najważniejszy czynnik hegemonji politycznej danego narodu występuje jego kultura naukowo-techniczna, oraz umiejętność zastosowania w życiu codziennym, a przede wszystkim gospodarczym doświadczeń nabytych metodami ścisłymi. Nie jest to bynajmniej przypadkiem, że najbogatszym państwem w danej chwili są Stany Zjednoczone Ameryki, gdzie również technika święci największe triumfy, a ilość samochodów jest tak wielka, że całe społeczeństwo Stanów Zjednoczonych mogłoby się wygodnie pomieścić we własnych samochodach.

W ubiegłych epokach człowiek zachowywał się przeważnie biernie względem sił przyrody. Wręcz odwrotnie człowiek współczesny wszędzie stara się ułatwić sobie pracę konsekwentnym wykorzystaniem sił przyrody. U Babilończyków,

po swojacku i różniej mi na duszy. A tu ze mną i Stach Mazur, i Jurek Zambrzycki, jakoś idzie!

— Ciężka służba?

— Służba, jak służba — Francuzi twardą łapę mają i z niczem się nie liczą, ale chłopcy ludzkie, owszem niczego — jeśli dają, jak się należy. Najgorsze to te djabły z plemienia Mleuh. Siedzi to po górach, w miejscach, że i koza by nie wlaźła, a gdy zdradze z nami, to dnia i nocy nie znamy spokoju. Za każdym kamieniem czeka nas nóż, z poza każdej skały może gwizdnąć kula. A gdy dopadną, nie pożałują nikogo, jak one wilki w Polsce. Straszni ludzie!...

— Często teraz panowie macie walki?

— Trzech przyjaciół chrząknęło znacząco, zaciągnęło się mocniej dymem papierosów, a Mazur odparł wolno, cedząc słowa:

— Ano, Marocco w Wysokim Atlasie jest już spacyfikowane i otwarte dla turystów!

Wybuchnęli śmiechem prawdziwie żołnierskim:

— Bo tu, w dolinach spokojnie, Francuzi nie żartują i żelazną ręką tłumią przez nas każdą próbę zamieszek lub rozboju, lecz tam, w górach poza Haonz na Znągę, po Taroudant, poza rzeką Oued Sous, tam piekło jeszcze wre i tam roboty nigdy nie braknie, a i wióry lecą, gdy drwa rąbią. Tydzień temu zakopaliśmy w ziemię Jóźka Barcikowskiego. Pan znał Barcikowskiego?

Pytanie zaskoczyło mnie tak bardzo, że nie wiedziałem, co odpowiedzieć, a co gorsza było mi bardzo wstyd, że nie

mogłem znać Jóźka Barcikowskiego, dzielnego żołnierza kompanji 3-ciej.

— Nie było nic takiego! — opowiadał Furgała — ot, zwykła przygoda, nic więcej. Szedłem z Jóźkiem na szpicy, ścieżką na Tinesk, a wówczas jeden ze szczepów Souss, płatał głupie figle, rabując okrzężnych kupców i mordując patorole. Szedłem więc, jak mówię, na szpicy, Józiek, że był bardzo spragniony, zostawił mię na ścieżce, a sam wdrapał się parę metrów wyżej do maleńkiego źródła z wodą zimną jak lód. (Źródło znaleźliśmy już wprzód). Stałem na ścieżce i z „Lebelem“ w garści, gotowym do strzału gapilem się na Barcikowskiego, jak się pnie coraz wyżej i wyżej, a jego niebiesko szare kepi błyszczą w słońcu. Gdy już był tak maleńki, że zdał mi się być obrazkiem na ilustracji, ujrzałem, że nagle staje, prostuje się, rozkłada ramiona i leci w dół. Panie! jakże on długo leciał, gdy ja stałem bezradny, bez ruchu! A gdy przedtem zmałał w oczach, teraz stawał się coraz większy i większy, aż runął tuż obok mnie razem z lawiną oderwanych odłamków skalnych. W górze zaś kołatało się długo jeszcze echo strzału, a potem zaległa cisza i daremnie wypatrywałem mordercy.

Szkoda Jóźka był dobry chłop!

— To som furgwały jeteligenckie bajdury! — mruknął Mazur, lecz się wnet rozpogodził, gdy towarzysz mój ofiarował mu ostatnią paczkę polskich papierosów.

— To jest frajda! — cieszył się — to nie francuskie fasowane kopciuchy, pies im buzię wylizał.

Egipcjan i Greków sprawami technicznymi zajmowali się wyłącznie kapłani, którzy wiadomości swe zużytkowywali — sit venia verbo — dla ogłupiania swych owieczek. Bardzo do wciwnie skonstruowane prototypy maszyn parowych poruszały ramionami i głowami bóstw babilońskich, błogosławiących rozmodlony tłum. Okręty swe jednak lud z Babel poruszał prymitywnie mięśniową siłą własnych rąk. Nawet urządzenia elektryczne były już stosowane w świątyniach egipskich, atoli w życiu, praktycznie ich nie znano.

Jesteśmy dziś szczerzy. Na to by osiągnąć nastrój miodlitewny nie potrzebujemy uciekać się do sztuczek kuglarskich, chwila skupienia, kontemplacji duchowej wystarczy. Technika natomiast opuściła mury świątyń, zesłała w życie, podbiła ludzkość, stała się naszą własnością, a teraz my z kolei zwyciężamy nią siły przyrody, okupujemy je, eksploatujemy. Technika uczyniła z sił przyrody naszych potężnych wasalów.

Jak więc widzimy zasadnicze cechy ubiegłych kultur oraz naszej epoki możemy zestawić w następujących czterech tezach:

- 1) Kultura ubiegłe obejmowały terytorjalnie maleńkie obszary.  
Kultura współczesna obejmuje cały glob.
- 2) Ze zdobyczy kultur ubiegłych korzystały tylko kasty uprzywilejowane.  
Kultura współczesna jest ogólna, demokratyczna.
- 3) Kultura ubiegłe opierały się przeważnie na sile fizycznej.  
Kultura współczesna opiera się przeważnie na walorach duchowych.
- 4) Człowiek ubiegłych epok zachowywał się biernie wobec sił przyrody.  
Człowiek współczesny świadomie i czynnie wykorzystuje siły przyrody dla swoich celów.

Jeszcze jedna cecha będzie charakteryzowała, jeśli nie człowieka współczesnego, to w każdym bądź razie człowieka przyszłości. Człowiek przyszły będzie uważał siebie za jeden z najdoskonalszych twórców przyrody, która jest wspólną matką świata flory, fauny i ludzi.

Jakto, — słyszę już głosy swych czytelników — czyż owa wzrastająca mechanizacja życia nie oddala człowieka od przyrody? Czy szalone tempo nie wyczerpuje naszych nerwów, czyniąc z nas karykatury dawnego silnego i zdrowego „człowieka natury“?

— Pan służył w wojsku polskim? — zapytałem go na dźwięk czysto polsko-żołnierskiego przezwiska.

— Czy służyłem, czy nie — odburknął — niewiedomo, to moja rzecz! W legjonie ani o służbę, ani o nazwisko nie pytają. Generał może być pucybutem, a pucybut — oficerem, carramba!

Gwizdek oficerski przerwał nam rozmowę. Żołnierze wolno i ociężale powstawali i podeszli do wału tornistrów i barykady stojących w kozłach karabinów. Ciemne, opalone na bronz twarze czerniały pod jasnemi szaro niebieskimi kaszkietami. Zakurzone kurtki obciągały się pod rzemieniami ładownic i tornistra. Urywana komenda smagnęła szeregi. Podbiegłem do naszych. Stali obok siebie, tuż przy prawem skrzydle, bo rosłe były chłopaki.

— Może od panów zawieść jakie pozdrowienie do kraju, może komu co powiedzieć?

Mazur zmarszczył się gniewnie, Furgala uśmiechnął się i potrząsnął głową, tylko Zambrzycki spojrział na mnie jakoś dziwnie. A gdy rozległo się spocznij, odwrócił się do mnie i rzekł szepsem:

— Pan będzie w Krakowie, prawda będzie pan? W Krakowie zaś, na Krowoderskiej ulicy mieszka .....no, mieszka ktoś, komu pan powie, że Jerzy jest zdrow i zawsze ten sam, i że wszystkim, co złe to nieprawda. Napiszę panu adres na kartce! Nie zapomni pan?

Słę więc pozdrowienia do Krakowa, na ulicę Krowoder-

Ośmielam się twierdzić, że podobne zarzuty polegają na poważnym nieporozumieniu. Rzeczą zgoła niemożliwą jest, aby człowiek wyzwolił się z pęt przyrody. Możemy odróżnić plemiona znajdujące się na niższym stopniu kultury od narodów o wysokiej kulturze, nie możemy atoli klasyfikować ludzi na „ludzi natury“ i ludzi jako takich. Czyż jest bowiem możliwe, aby ktokolwiek z nas nie podlegał wpływom promieni słonecznych, stosunków ziemskich i niezliczonym wpływom kosmicznym? Czy ludzkość jako całość może iść drogą nienaturalną? Synami przyrody jesteśmy, byliśmy i będziemy, a dzieła nasze nie są „wrogiem naturze“.

Nie mogę tego zrozumieć, dla jakiej to przyczyny uznajemy naprzykład mrowiska za dzieła przyrody, pierwszy lepszy zaś drapacz chmur, wieża Eiffel lub Tower Bridge mają być twórcami zdegenerowanej „wrogiej naturze“ ludzkości! W sprawie tej zagadnienie intelektu i instynktu niema żadnego znaczenia. Uznając bowiem nawet, że podczas gdy mrówki budują swe „bloki mieszkalne“ pod wpływem czystego li tylko instynktu (jest to zresztą jeszcze kwestja naukowo nie rozstrzygnięta), człowiek zaś z racji boskiego intelektu, — zgodzić się musimy, że inteligencja ludzka zaszczyt przynosi przyrodzie. W interesie matki natury bynajmniej nie leży zrażanie bezmyślnych niezdolnych do rozwoju istot.

Może jeszcze ktoś uczynić zarzut, że człowiek niszczy florę i faunę, że wytępia dzikie zwierzęta i z tego powodu jest wrogiem przyrody. Doskonale! Dlaczego jednak lew nie jest wrogiem przyrody, gdy rączy się mięsem ludzkim? Prawo walki o byt obowiązuje w całej przyrodzie, dlaczego więc odmawiamy ludziom przywileju korzystania z tego prawa?

Niesłusznym również jest zarzut, że człowiek współczesny jest mniej zdrowym, mniej odpornym od tak zwanego „człowieka natury“. Roentgeniczne badania mumji egipskich wykazały, że Egipcjanie również chorowali na rachitis. Na podstawie statystyki stwierdzono, że średnia długość życia ludzkiego dziś jest większa, aniżeli sto lub tysiąc lat temu. Co zaś tyczy się chorób nerwowych — jesteśmy świadkami zdrowej reakcji młodzieży naszej, która wobec szalonego tempa życia garnie się do uprawiania sportów i hartowania ciała.

Ze nie wszyscy ludzie zdolni są przystosować się do nowych warunków życia, nic w tem dziwnego, w okoliczności tej ujawnia się tylko prawo doboru naturalnego. Giną te jednostki, które konkurencji nie wytrzymują, a pozostaną ci,

ską pannie Hance od Jerzego z Marocca z drugiego bataljonu legji cudzoziemskiej. Jerzy jest zdrow i zawsze ten sam, a wszystko co było złe to nieprawda, tak, tak nieprawda!..

Zawarczał motor naszej maszyny. Obejrzałem się po raz ostatni. Ciemny wąż piechoty zagłębiał się coraz bardziej między skały. Błyszczały w słońcu karabiny. Ruszyłem.

A przed nami błyszczały w słońcu Marakesz, stały sztywno palmy zielonej oazy...

Minął nas wolno jadący autobus, lśniący, elegancki, pełen bezpiecznych sytych, uśmiechniętych turystów. Pozostał po nim tylko kurz na drodze. W tym kurzu wjechaliśmy pomiędzy mury miasta. Ogarnął nas zgiełk i tumult wschodu.

— Balek, Balek! — wołali roznosiciele wody, dzwiczkały dzwonki u szyji wielbłądów, zawodzili z pod murów żebracy, ryczały syreny samochodów.

Zatrzymałem auto przed hotelem Transatlantique.

Gdyśmy się myli z czerwonego kurzu towarzyszył mój westchnął nagle, wytarł rękami i rzekł w zadumie:

— A wiecie co? Jak świat długi i szeroki wszędzie nas pełno. Siedem milionów najtęższych Polaków rozsiadane jest po świecie. I wszędzie ci sami i wszędzie tacy sami. Czyż nie stanowimy wielkiej a potężnej rodziny, która choć jeszcze wzajemnie nie dość się zna, poznać nawzajem się powinna.

którzy z walki o byt wyjdą jako zwycięscy. Cechą zaś naszej epoki jest, że proces ten odbywa się znacznie prędzej, niż dawniej i w tem właśnie tkwi rewolucyjny charakter naszego wieku. Rozwój techniki i nauki jest tak gwałtowny, że sprawia raczej wrażenie gwałtownego przewrotu, a nie powolnej ewolucji.

Owe niemądre majaczenie o „nienaturalności“ człowieka współczesnego pociąga za sobą jednak inne, bardzo ujemne następstwo. Opinia publiczna urabiana sztucznie w ten sposób skłonna będzie czynić z epoki naszej, najwspanialszej może ze wszystkich epok, epokę dziwaków, degeneratów, zacnie pogardzać zdobyczami techniki i nauki. Obowiązkiem naszym jest podkreślać doniosłość naszej epoki, wzniecać w sercach zapał do naszej kultury, szerzyć zamiłowanie do nauk przyrodniczych, stanowiących kręgosłup współczesności

Od poziomu nauk ścisłych i technicznych zależeć będzie bogactwo ojczyzny?

Z naszych pięciu zasadniczych cech kultury współczesnej i przyszłej wynikają ważne zasady wychowawcze.

Współpraca uczonych, ogólnoludzki charakter kultury technicznej wskazuje nam jak wielka jest siła w jedności. Prawda o niszczycielskiej robocie nienawiści nigdy nie ukazała się jawniej ludzkości, aniżeli dziś.

Najlepszą bronią współczesną w walce gospodarczej narodów jest stosowanie zasad naukowych, wiadomości naby-

tych na drodze doświadczalnej we wszystkich dziedzinach życia współczesnego.

Rozwój kultury ludzkiej jest tak samo naturalny, jak ewolucja świata flory i fauny.

Niema takiego problemu technicznego, (jeśli tylko nie jest sprzeczny z prawami przyrody), jakiegoby nie potrafił rozwiązać genjusz ludzki.

Ostatnia zasada może nam się wydać zbyt śmiałą. Tak jednak nie jest. Z wyjątkiem problemu podróży międzyplanetarnych prześcignęliśmy wszystkie marzenia Jules Verne'a, a nawet zagadnienie wehikułu przestrzeni kosmicznej zostało już — przynajmniej teoretycznie — rozwiązane. Dziś wystarczy, aby życie codzienne wskazało jakiś problem, a możemy być przekonani, że technicy prędzej, czy później dostarczą nam rozwiązania zagadnienia.

Zyjemy w czasach tytanów.

Maluczko, a w raketowych pociskach wybierzemy się na Wenus lub Marsa, by nieść tam światło naszej kultury.

A symbole naszej epoki?

Są nimi olbrzymie piece hutnicze wyrzucające z siebie potężne snopy płomieni, sztuczne wyspy Armstronga, Do.10, R. 101 i dzieła zdobywczej myśli ludzkiej, stanowiące równocześnie jeden wspaniały pomnik, gloryfikujący majestat ludzkiej pracy.

dr. Feliks Burdecki

## K T O J E S T S P O R T O W C E M ?

Pytanie te wydać się może dziwnem. Bo odpowiedź wydaje się aż nazbyt jasna, aż nazbyt prosta. Sportowiec, no ma się rozumieć, to taki, co sport uprawia! Rzecz tak oczywista, że chyba nie warto poświęcać takiemu zagadnieniu całego artykułu.

Nietylko warto, ale koniecznie trzeba. I choćby się chciał streścić — artykuł wyjdzie długi... i jeszcze po przeczytaniu nie wszystko będzie wyjaśnione. Naodwrot, powstanie cały szereg nowych wątpliwości, których się przedtem nie miało.

Ten, co sport uprawia? Zgoda. Takiego pana, co to się tylko gapi, co to tylko drze się na trybunie, zachęcając drużynę, przy której pełni zaszczytną funkcję „kibica“ sportowcem nie nazwiemy. Nie nazwiemy nim też owego brzuchatego pana, co to na wyścigach konnych stawia 200 złotych na tę lub ową szkapę; choć przecie 100 lat temu jemu tylko, obok bohatera, wystrzeliwującego kuropatwy, miano sportowca w oczach opinji przysługiwało... w odróżnieniu od tych różnych chamów, co to piłkę kopią lub latają jak żrebaki po polu.

I oto już, z tego maleńkiego przykładu, wyrasta pierwsza wątpliwość. Ten, co sport uprawia? Ale co jest sportem a co nim nie jest? Z biegiem czasu pojęcie „sport“ stosowane ongi wyłącznie do jazdy konnej i myśliwstwa, obejmowało coraz to nowe przedmioty. Dziś strzelanie do bezbronnej zwierzyny niekoniecznie nazwiemy sportem, ale zato pod to określenie podprowadzimy cały szereg rzeczy, dawniej uważanych bądź to za przepędzenie czasu, bądź to poprostu za „grubiańską zabawę nizin społecznych“.

Z tego określenia wynika, iż sport jest tam, gdzie jest ruch fizyczny, wysiłek mięśniowy i wysiłek woli, skierowany w stronę osiągnięcia wyniku lepszego, niż kto inny, lub też lepszego, niż uzyskany przedtem, przyczem wysiłek dyscyplinowany, stosowany z uwzględnieniem pewnych przyjętych form.

Do określenia wstawiliśmy zwrot: zdolny do wywarcia dodatniego wpływu na zdrowie fizyczne i duchowe. Chcemy przez to powiedzieć, że ćwiczenia sportowe mogą okazać się korzystne, lecz mogą być swych walorów wychowawczych pozbawione, gdy się je stosować będzie nieodpowiednio. Co do strony fizycznej, rozumiemy to w ten sposób, że racjonalnie uprawiane ćwiczenia sportowe, wzmacniają mięśnie i rozwijając organy wewnętrzne, sprawność cielesną spotę-

gują, lecz stosowane zbyt jednostronnie, z przesadną intensywnością i z pogwałceniem elementarnych zasad higieny — mogą zdrowie zrujnować... nie przestając przez to być ćwiczeniami sportowymi. Co do strony moralnej — chcemy przez oględne sformułowanie naszego określenia dać wyraz pogładowi, iż wpływ dodatni na charakter, na wolę, na etykę ćwiczącego sport wywrze tylko wtedy, gdy będzie uprawiany w duchu tych ideałów jakie przyświecały twórcom ruchu sportowego.

I dlatego określenie sportowca — w pojęciu takich Anglików zawiera w sobie odrazu pojęcie „gentleman“ — gdyż zdaniem Brytyjczyków, ojców współczesnego sportu — sportowiec nie może nie być gentlemanem, a dżentelmen nie może być fizycznym niezdarą — zważymy jeszcze bardziej, niż nawet pojęcie „sport“.

Gdyż za sportowców, za prawdziwych sportowców uważać będziemy tylko i wyłącznie tych, kto sport uprawia nie bezmyślnie i nie dla jednej tylko przyjemności lub dla zaspokojenia naturalnej potrzeby ruchu — lecz właśnie z myślą o skorzystaniu z wychowawczego wpływu, jaki sport wywrzeć może na duszę i ciało.

Za sportowców uważać będziemy tylko tych, którzy tak w życiu codziennym, jak i na boisku hołdują zawsze zasadom fair-play, zasadom lojalności, koleżeństwa, dyscypliny swobodnie przyjętej i takim metodom walki, które dowodzą szacunku dla przeciwnika... i dla siebie.

„Sport“ — to rzecz martwa. To forma, w którą można różną włożyć treść. „Sportowiec“ — to człowiek żywy, w ową ukochaną formę wkładający dążenie ku słonecznym ideałom: ku pożądaniu siły mięśni i siły ducha, piękna kształtów i piękna postępów, rasowości wyglądu i rasowości zachowania się wszędzie.

Sportowiec, to ten, kto przez uprawianie ćwiczeń cielesnych chce stać się jednostką czynną, zdolną do wielkiej i bezinteresownej pracy na każdym polu, które tylko pozwala służyć sprawie stwarzania nowej, lepszej ludzkości.

Określenie to nie stawia wymagań specjalnie ostrych. Nie żąda żadnych nadzwyczajnych czynów, żadnych niezwykłych talentów. Uczynić mu zadość potrafiłby każdy. A jednak... gdy się dobrze namyśleć — czy wielu jest takich, którzy pomyślawszy nad nim mieliby odwagę powiedzieć: jestem prawdziwym sportowcem?

Wiktor Junosza.

## Jak zostałem dziennikarzem?

(feljeton).

Kiedy już taka zapanowała w „Sterniku” moda, aby pisać artykuły o wyborze zawodu, niechże i ja coś na ten temat napiszę. Wprawdzie nie mogę pisać o żadnym poważnym zawodzie, tylko o dziennikarstwie, lecz z tego powodu nie mam zamiaru pisać rzeczowego artykułu, tylko feljeton.

Zaczynamy więc od początku, jak zwykły mawiać (zupełnie słusznie) jeden z moich przyjaciół, było to tak: Jeszcze za czasów bytności w piątej klasie trzymaliśmy się zawsze razem we czterech. Trzech z pośród nas miało szczytne ambicje poświęcić się literaturze, czwarty, mimo, że „pisał”, chciał zająć się dziennikarstwem.

Przypominam dziś sobie dokładnie nasze pierwsze literackie zebrańia na których odczytywaliśmy sobie swe utwory, a następnie krytykowali je z wielkiem przejęciem i namaszczeniem.

Jerzy pisał prozą, Jureczek, zwany tak dla odróżnienia od Jerzego, prozą i wierszem, ja tylko wierszem. Heniek pisał wprawdzie piekielnie makabryczne nowele, lecz sam nie przywiązywał do nich wielkiej wagi — marzył o dziennikarstwie.

My jednak, jak to zwykle w młodym wieku, byliśmy mocno dumni z siebie i pewni, że w niedługim czasie nazwiska nasze zajaśnieją w literaturze conajmniej jako nowo wschodzące słońca.

Powoli mijały lata. Pracowaliśmy z ochotą i zamiłowaniem nad naszą „literaturą” nabijając się równocześnie z Henia, który koniecznie chciał być „pismakiem”.

Od czasu do czasu przynosił któryś z nas wycinek z jakiegoś pisma i z triumfem pokazywał swój wydrukowany utwór. Cóż to była za radość i jaki powód do dumy i zachwytu nad samym sobą (naturalnie w skrytości ducha, bo na zewnątrz udawało się wtedy przystępnego i skromnego — tak wypada).

W ósmej klasie redagowaliśmy razem pismo szkolne. Był to niezmiernie ważny moment w życiu nas wszystkich. Poraz pierwszy byliśmy „redaktorami”. Jednak nie przekonało nas to do dziennikarstwa. Chcieliśmy być poważnymi twórcami, a nie jak to zwykle bywa w początku kariery każdego młodego dziennikarza pisać po ileś tam groszy od wiersza to, co potrzebne redaktorowi, a nie to, o czymby się chciało napisać.

Po maturze jakoś nas los rozpedził w różne strony. Widywaliśmy się rzadko i zawsze tylko na chwilkę, bo trzeba się było spieszyć do Uniwerku, na korepetycję, na randkę, czy w innej jakiejś równie ważnej sprawie.

W tym czasie i mój zapał do pisania znacznie ochłodził. Zrozumiałem, że nie tak łatwo mi będzie zakasować Słowackiego, że właściwie niezły wiersz to jeszcze nie poezja. Przytem nie miałem czasu na pisanie.

Kiedys mniej więcej po roku niewidzenia spotkałem się z Jureczkiem.

— Serwus stary, co słychać?

— Nic specjalnego.

— Co porabiasz?

— Pracuję w dziennikarstwie.

— W dziennikarstwie — zdziwiłem się — a pamiętasz jakieśmy się tego wszyscy wyrzekali? A co z literaturą?

— Ano, piszę — odpowiedział śmiejąc się — feljetyony, nowele, wiersze na zamówienie.

Zgadało się potem, że Heniek też jest dziennikarzem, jak to zresztą już dawno postanowił. Porozmawialiśmy jeszcze trochę o dawnych czasach, o naszych poważno literackich zamierzeniach i pożegnaliśmy się, Jureczek miał właśnie napisać jakiś feljeton o matematyce i nowelę o kinie, więc musiał się bardzo spieszyć.

Kilka dni potem spotkałem w cukierni Jerzego. Skoczył ku mnie z wielką radością i potrząsając moją ręką oznajmił mi z zachwytem:

— Wiesz, pracuję w dziennikarstwie.

— Rozumiem — jęknąłem przygnębiony — pisujesz na zamówienia feljetyony, nowele, artykuły...

— Tak, a skąd wiesz, czy czytałeś?

— Nie, i nie będę czytał. A zresztą co mi do tego — zwołałem doprowadzony do ostateczności — ja też pracuję w dziennikarstwie, piszę na zamówienia nowele, feljetyony, wiersze, nekrologi...

— Co — przerwał mi Jerzy — ty pracujesz w dziennikarstwie, a od kiedy?

— Od jutra — odpowiedziałem z bezczelną miną.

W ten to właśnie sposób zacząłem pracować w dziennikarstwie. Upięknęło już od tego czasu kilka lat. Napisałem sporo wierszy (wiersze — to moja specjalność) radjowych, lotniczych, kinowych, okolicznościowych, nowel, feljetonów, dowcipów, satyr, nawet kilka piosenek — a do mojego ideału, poważnej literatury, jakże mi daleko

Dlatego też radzę wam z całego serca, Czytelnicy, nie zostajcie czasem dziennikarzami. Zwłaszcza jeszcze i z tego powodu, że i tak małe bardzo wierszówki płacą, a jak będzie dziennikarzy więcej, to jeszcze mniej nam będą płacić.

Co do mnie, jednak nie jestem niezadowolony ze swego fachu. Ostatecznie trudno. Jedno przynajmniej w tem wszystkim dobrze, pracujemy znów we czterech razem i od czasu do czasu, kiedy się zjedziemy, gadamy sobie o naszych sprawach zawodowych i o dawnych szkolnych czasach i o literaturze poważnej, do której nic nam dziś nie jest bliżej, niż było za czasów piątoklasowych i piszemy sobie z dnia na dzień nasze zamówione wiersze, nowele i feljetyony, jak naprzykład powyższy, aby zacił Czytelnicy mieli co czytać, gdy nie mają już nic lepszego do roboty.

Michał Ochorowicz.

—•••••

## O kompozycji w fotografii.

Zazwyczaj niedoświadczeni amatorzy fotografovia, a tembardziej cały ogół mniema, że byle jakiś krajobraz był ładny, to i fotografia będzie ładna.

Tymczasem zachodzi tu duże nieporozumienie, przed którym należy ostrzec, by uganiający się za ładnymi zdjęciami krajobrazowymi nie miał gorzkiego rozczarowania i by tem łatwiej na właściwą drogę fotografii artystycznej natrafić mógł.

Rzecz polega na tem, że jakiś daleki i rozległy widok z góry lub, powiedzmy, z wyniosłego brzegu rzeki, jakkolwiek dla oka ludzkiego przedstawia się wspaniale i swoją różnorodnością pociąga i przykuwa uwagę widza, jednak: na fotografii krajobraz taki będzie wyglądał bardzo sucho, martwo i monotonne.

Abstrahując od wad technicznych przy fotografowaniu dalekich widoków i krajobrazów, których można uniknąć przy używaniu płyt ortochromatycznych i żółtego filtru, aby sine i zamglone niebieskawe dale nie wypadły nam na zdjęciu za jasne, pomimo to fotografia takiego krajobrazu nie będzie robiła na nas tego wrażenia, któreśmy odczuwali na miejscu, a będzie jedynie dokumentem wziętym.

Tłumaczy się to tem, że okiem ogarniamy pewien widok bardziej, że tak powiem, po literacku, bardziej rozumowo, przebiegając od szczegółu do szczegółu, topiąc ostatecznie wzrok w nieskończonej dali.

Tymczasem od fotografii artystycznej wymagamy czegoś więcej niż dokumentu, a mianowicie estetycznego wrażenia.

W tem miejscu dochodzimy do zagadnienia kompozycji i malarzkiego ujęcia.

Fotografia, odbitka fotograficzna, czy też płyta przedstawia czworobok, płaszczyzna którego musi być umiejętnie i harmonijnie zapełniona danym widokiem, czy też wogóle przedmiotem fotografowanym.

Przeważnie wszyscy fotografowie przez długi czas nie zwracają na to uwagi, a traktują fotografię właśnie bardziej po literacku — umysłowo, a mniej wzrokowo, plastycznie.

Dlatego też wiele z tych fotografii bywa mało ciekawych, a czasem bywają wręcz nudne, przez brak walorów estetycznych bawiących oko.

Jak należy uniknąć tej wady i nauczyć się dokonywania zdjęć skomponowanych po malarzku?

Przedewszystkiem należy pamiętać o tem, że fotografia jak już wyżej powiedzieliśmy — jest płaszczyzną czworoboczną, na której dany przedmiot fotografowany należy tak ułożyć i skomponować, by fotografia przedstawiała logicznie i harmonijnie zapełnioną i zamkniętą całość.

Nie każdy temat fotografowany będzie się nadawał do wymiarów długości i szerokości płyt i papierów znajdujących się w sprzedaży (6 × 9), (9 × 12), (13 × 18) i t. d.

Tu trzeba sobie pozwolić na odwagę, której zazwyczaj początkującym fotografom brak, na bezceremonjalne obcięcie odbitki fotograficznej od góry lub od dołu albo z boków, tak jak nam poczucie estetyczne i pewna logika dyktuje.

W ten sposób o ile nawet zdjęcia nie udało się nam ująć odrazu



*Odbitka pierwotna. Białe paski wskazują linje, jakimi należy obciąć odbitkę.*

na płycie w skomponowaniu malarskim, to możemy prawie zawsze osiągnąć to przez obcięcie tego wszystkiego, co „niepotrzebne” jak to nazwiemy.

Například weźmy wyżej przytoczony wypadek rozległego widoku; prawie zawsze będzie miała taka fotografia zadużą przestrzeń zajętą przez



*Odbitka pierwotna. Białe paski wskazują linje, jakimi należy obciąć odbitkę.*

niebo lub przez ziemię, albo i jedno i drugie razem. Odetnijmy „to co niepotrzebne” odrazu otrzymamy większe zwiarcie tematu i przez to estetyczniejsze wrażenie.

Fotografując rozległy widok wyszukajmy sobie jakiś przedni plan, jakiś drzewo lub ścianę lasu, odrazu otrzymamy pewne zakomponowanie

płaszczyzny i tylko w razie potrzeby możemy jeszcze dociąć ją trochę, w tym wypadku, przeważnie z boków jednego lub drugiego lub obu równocześnie, zależnie od tematu.

Jaki wniosek z powyższego możemy wyciągnąć?

Że nie należy uganiać się za okrzykanymi za piękne krajobrazami,



*Odbitka obcięta. (powiększenie)*

lecz starać się wyszukać samemu prawdziwe piękno tam, gdzie go inni nie widzą, ująć jak się należy i innym pokazać.

Tego rodzaju poszukiwanie i zastanawianie się nad przedmiotami nas otaczającymi, dać nam mogą wiele wrażeń estetycznych i zadowolenie wewnętrzne.



*Odbitka obcięta. (powiększenie)*

Czasem jakiś płot i droga na wsi dobrze ujęte na fotografii lub poprostu popielniczka z opartym papierosem na stole mogą być wielkimi dziełami sztuki fotograficznej.

Stefan Plater - Zyberk

## KRONIKA KWIETNIOWA.

...oczywiście, że znowu ta z przed stu laty. Roztrząsa ona tym razem bynajmniej nie na „prima aprilis” wielce ciekawe zagadnienie przyrodnicze, gdzie zimują jaskółki. Problem zimowania tych miłych ptaszek „pod wodą” jest bowiem jeszcze wielce aktualny. Jako argument podają gazety 1830 r., że w gazecie z r. 1770 „było oznajmiono”, iż we wsi Jeziernicy pow. słonimskiego w probostwie cerkiewnym wydobyto ze studni 188 jaskółek „jak sznur pozaczepianych ze sobą za nogi, które położone na ziemi, gdy słońce w południe zaczęło dogrzewać zwolna ożywały i wkrótce odleciały”. A więc tym razem kaczkami dziennikarskimi są jaskółki. Przybierają one też niejednokrotnie postać węża morskiego, który pokazał się „przy wyspie Levis w kierunku północno-zachodnim od Szkocji; mieszkańcy nadto dobrze znają wieloryby, aby który z nich mieli uważać za ten potwór”.

Tak chytry dziennikarze z przed stu lat bawią publiczność. Nic jednak nowego pod słońcem, czyż bowiem następująca sensacja nie wygląda na żywca wziętą z ostatniej stronicy „Czerwonika”? — — — „Z Sabaudji donoszą, że pewien małżonek sprzedał swoją żonę za 14 soldów, a inny zamienił ją za oslicę; na obadwa handle jednak zezwolili żony. Rząd wdał się w tę sprawę i aresztował sprzedawców, jest jednak w wielkim kłopotcie względem zastosowania prawa, gdyż niema ustawy, któraby sprzedazy żon zabraniała”.

Problem szybkiej komunikacji, tak jak i dziś, nie przestaje interesować ówczesnych ludzi. Nie zapominajmy o tem, że są to właśnie narodziny „wieku pary”. Prawda, że do „machiny parowej” odnoszą się jeszcze nad wyraz podejrzliwie. Typowym przejawem tej podejrzliwości jest chyba eksperyment zamiany konia parowego na zwykłą szkapę. Jakże komicznie brzmieć musi dla dzisiejszego człowieka, że po jeziorze Garda pływa statek, na którym zamiast pary używa się koni „przez co statek jest zabezpieczony od wysadzenia w powietrze i oszczędza się kosztu na drzewo do palenia. Mechanik, niejaki Floriani de Riva, zbudował machinę z żelaza, której koła podobnie iak w statku parowym obracają osiem koni. Statek waży 2.000 centnarów”. Nic więc dziwnego, że rekordem szybkości jest wyczyn okrętu „kompaniji wschodnio-indyjskiej, Margrabia Wellington”, który odbył w przeciągu 81 dni podróż z Londynu do portu Dyamentowego, oddalonego o 35 mil ang. od Kalkuty. Nayprędszą podróż z New-Jork do Liverpool odbył pakietbot „Canada”, gdyż w przeciągu 16 dni”. — — — Szczytem szybkości musi się więc wydać czytelnikowi z 1830 r. następujące otrzymywanie wieści: „słychać, iż między Tulonem i Algierem będzie postawionych 25—30 okrętów telegraficznych, tak iż podczas pięknej pogody w tym samym dniu można będzie wiedzieć w Paryżu o wypadkach zaszłych pod Algierem” (oczywiście, mowa tu o telegrafie optycznym). Wiadomości z Algieru oczekiwała cała ówczesna prasa z najwyższym napięciem. Rok 1830 jest bowiem rocznicą wyprawy wojennej Francuzów do Algieru, jest rokiem decydującym o przyszłości kolonialnej Francji. Wszystkie czasopisma są poprostu przepelnione szczegółami, tytującami się tej wyprawy: „Wszystko zajmuje się xięciem Polignac i uzbrojeniem na wyprawę afrykańską”. Niektóre pisma wypisują tak niesłychane bajdy o Algierze i jego mieszkańcach, że jest to przebogaty materiał dla humorystycznej geo i etnografji.

Skoro już wspomina się kraje egzotyczne, to nie od rzeczy będzie nadmienić, że i 100 lat temu uważano gazetę za najlepszy sposób zawiadamiania o tem, że się jeszcze żyje. Czynią to przynajmniej osiedli w południowej Karolinie Polacy, „którzy się tam znaleźli po nieszcześliwej wojnie z Murzynami na San-Domingo”. Tymi niedobitkami epopei napoleońskiej są: Słowik Jan z pod Bielska, Poturniak Stanisław z Lubelskiego, Kunicki z pod Kamieńca Podolskiego, Zieliński z Gniezna i dentysta Szymański z Warszawy. Wszystkim powodzi się dobrze: Są to, zdaje się, pierwsi emigranci Polacy w tych stronach”. Do znacznie ciekawszych należą notatki, zamieszczone w nr. 113 i 114 „Dziennika Krajowego Powszechnego”, donoszące o największym z naszych emigrantów tej epoki. Czyta się je ze wzruszeniem, a stanowią one nawet pewną wartość jako przyczynek historyczno-literacki.

„Wiele czyta się o Mickiewiczu, że Mickiewicz ciągle bawi w Rzymie. Widzieli go można często po przechadzkach z sławnym amerykańskim romanistą Cooperem i z Rossyjską literatką panną Chlustin” — — — „Panna Jaenisch, niemka w Moskwie urodzona, uczy się po polsku, ażeby mogła poezje Mickiewicza w oryginale czytać. Tyle już w znaomości języka polskiego postąpiła, że przełożyła na język niemiecki ucztę z Walenroda. Tłumaczenie to wzięła z sobą w przejeździe Humbolt i po-

wiózł Getemu. Bez wątpienia każdemu Polakowi miło jest słyszeć, że nasz poeta nappierwszych w Europie uczonych zajmuje”.

Naogół jednak w kwietniu mało mamy wiadomości artystyczno-literackich, oprócz tego rodzaju notatek jak ta, że „dziennik Constitutionel bardzo iest obruszony na poklaski, iakie zyskały dramatyczne plody szkoły romantycznej, iak n. p. „Othello przez Alfreda de Vigny i Hernani pana Hugo”. „Ciekawszych koncertów odbyło się w Warszawie niewiele. Koncertowali tylko Hieronim Pomarański, skrzypek, i Fryderyk Woerlitzer, 16-letni pianista pokojowy króla pruskiego, który pomimo młodego wieku iest już od trzech lat znanym”.

Nie możemy się jednak powstrzymać od podania „taxy mięsney” na miesiąc kwiecień 1830 r., którą magistrat z syreniego grodu ogłosił. „Funt dobrego mięsa wołowego 9 gr., cała pieczeń połędwicy 2 zł., wiązka flaków 6gr., całe serce 24 gr., wątroba 23 gr., dudy wraz z płucą i letkiem 13 gr., cynadry 13 gr. ozór 1,12 zł., funt cielęciny 10 gr., schabu 7 gr., smalcu topionego 26 gr., słoniny wędzonej 18 gr. — — Mięso zaś koszerne groszem iednym drożey na funcie sprzedawane bydz ma”. — — — Ponieważ jednak nie samem mięsem człowiek żył, nawet 100 lat temu, ogłaszamy więc i „taxę” na pieczywo... „bułka montowa z mąki marymontskiej piękney 3 gr., ordynaryjna 2, strucla z piękney mąki 6, dwa funty i cztery łuty chleba żytniego 6, 3 f. i sześć łutów razowa 6 gr.”.

Kto interesuje się życiem gospodarzem kraju, ten z pewnością porówna ówczesne ceny z dzisiejszemi (patrz kronika marcowa, gdzie są dane giełdowe). Jeśli już mówimy o cyfrach, to nie zapominajmy o tem, „że ludność Warszawy wynosiła 136.554”. Porównywując ówczesne rekordy szybkości ze statystyką ludności, możnaby więc dojść do wniosku, że szybkość komunikacji jest proporcjonalna do ilości ludności (32 km. na godzinę, p. kronika marcowa). Nie wiemy jednak, czy nie jest odwrotnie proporcjonalną do nędzy mieszkaniowej. Sprawozdanie budowlane z roku 1830 powiada: „Postawiono domów nowych murowanych 219, gmachów fabrycznych 27, przybudowań frontowych 210 i zainstalowano 587 latarni rewerberowych”.

Na tem kończymy nasz kwietniowy połów w morzu codzienności, poprzedzającej wielkie chwile walki o Niepodległość, prosząc równocześnie naszych Czytelników, aby nie zapomnieli o tem, że „posąg Kopernika ma bydz postawionym przed domem towarzystwa król. przyjaciół nauk”.

Dr. E. Strażyski.

## Ze świata książek

### Choynowski Piotr. O pięciu panach Sulerzyckich.

W potopie nowel, które wypełniają tłumnie szpalty dzienników i czasopism, zatraciło się właściwe znaczenie „noweli”.

Kto tylko ma jakieś aspiracje literackie, lub często nawet poprostu, niema nic lepszego do roboty, bierze się do ic i pisania.

W ten sposób rozpowszechniło się wśród czytelników mniemanie, że nowela jest utworem błahym, a co najważniejsze, łatwym do napisania. Jest to jednak twierdzenie z gruntu fałszywe, należy je zwalczać i starać się o to, aby nowela znów przywrócona została do dawnej powagi i, aby twórca piszący prawdziwe, dobre nowele był uważany na równi z powieściopisarzem.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że ludzie tej miary co Maupassant, lub Mérimée, a u nas Prus, lub Dygasiński, zranili i cenieni są głównie z powodu swej twórczości nowelistycznej. Jeśli dodamy do tego, że nowele stanowią ważną część twórczości Sienkiewicza, Zeromskiego, Reymonta i innych czołowych pisarzy ostatniej doby, to z łatwością dojdziemy do przekonania, że nowela, mimo pozorów łatwości, jest utworem wymagającym wszystkich zalet potrzebnych powieści plus jeszcze zaletę operowania zwięzłą prozą.

Rozmiar dzieła nie stanowi o jego wartości. Słusznie powiedziała kiedyś Konopnicka w jednym ze swych szkiców literackich, że „całe ogromne słońce odbić się może w kropli rosy” — taką właśnie kropłą rosy jest dobra nowela.

Pretekst do tych rozważań o noweli dało mi ponowne wydanie tomu nowel Piotra Choynowskiego p. t. „O pięciu panach Sulerzyckich”.

Nowele stanowią lwią część bogatej twórczości tego pisarza. A są to wszystko niebyłe jakie nowele — poprostu małe arcydzieła. Kiedy przyjrzymy się dokładnie choćby „Historji naiwnej”, dojdziemy do wniosku, że przecież byłaby to wielka krzywda dla autora, gdybyśmy utwory jego uważali za twórczość mniej poważną, niż powieść.

Zwłaszcza w panującym obecnie zalewie nowel, pisanych z dziś na jutro, aby zbyć, każdy tom Choynowskiego jest dla czytelnika miłą gwarancją, że tym razem dostała się do rąk jego książka, która ma pełne prawo, aby być zaliczona do literatury.

Niezwykły wprost temperament pisarski, drobiazgowość spostrzeżeń, oraz barwność opisów, przy równoczesnej prostocie nie goniącej za rzeczami i zdarzeniami niezwykłymi, nadzwyczajnymi, postawiły Piotra Choynowskiego w pierwszym rzędzie współczesnych nowelistów polskich.

Kiedy się jednak już tak o noweli zgadało, trzeba w tem miejscu wspomnieć i o innym jeszcze zasłużonym na tej niwie twórcy. Z kolei więc i o nim parę słów.

### Bartkiewicz Zygmunt. Polityka w lesie.

Dwa są zasadnicze motywy, na których opiera się twórczość nowelistyczna Zygmunta Bartkiewicza: wieś i przyroda, to jeden, a prześlność, to drugi.

Jak sam już tytuł omawianego tomu wskazuje, przyroda odgrywa tu będzie wielką rolę. Zna ją autor dokładnie i z widocznym umiłowaniem opowiada nam o niej. Opowiada i o życiu ludzi wiejskich, bo przecież oni z tą przyrodą są nierozdzielnie związani.

Pokazuje nam autor smutne najczęściej dzieje ludzi smutnych (taki już ma zwyczaj, że przeważnie opisuje zdarzenia tragiczne, a czasem się tylko rozwesela — to kiedy mówi o przeszłości) i ich otoczenia, idąc drogą wnikliwego i subtelnego realizmu tak pięknie zapoczątkowaną w kierunku nowelistyki przyrodniczej i wiejskiej przez Adolfa Dygasińskiego.

Czasem tylko, jakem to już powiedział, rozpogadza się zatroskane oblicze pisarza i przeblyskuje z jego słów dobroliwy uśmiech marzyciela, dzieje się to wtedy, kiedy opisuje dawne czasy, bo jak sam to powiedział, nadewszystko umiłował przeszłość.

Sławna i barwna przeszłość Ojczyzny. Wie wprawdzie, że nie była ona idealna i promienna, widzi w niej wady i ułomności, lecz nie stara się ich ukrywać. Dobrotliwie przebacza zło i rozkoszuje się wszystkim co dobre i piękne.

Dziwna rzecz, że mimo uznania, jakie Bartkiewicz zyskał u powag i znawców literatury, a które między innymi wyraziło się w przyznaniu mu nagrody literackiej Imienia Elizy Orzeszkowej za rok 1928, nie zdobył sobie dotąd należnej mu wśród społeczeństwa popularności.

Czy zaszkodziło mu to, że tak dużą rolę w jego utworach odgrywa przyroda?

Być może, bo nasza publiczność jakoś niezbyt się tym tematem interesuje, a szkoda. Zresztą jest to tem dziwniejszy objaw, że nie interesując się tym tematem we własnej literaturze, zajmuje się nim w obcej.

Taki na przykład Kipling jest wszystkim doskonale znany, a równy mu prawie we wszystkim Dygasiński jest nienal doszczętnie zapomniany.

Czy dlatego, że opisuje mniej barwną przyrodę polską, a nie, jak Kipling, egzotyczne Indie?

Podobnemu losowi ulega właśnie i Bartkiewicz. Jest on niepopularny, lub, może raczej, niemodny, bo jest zbyt prosty, pozbawiony nadzwyczajności.

Ano trudno, widocznie w epoce kin (wcale ich nie ganię, lecz nie radzę zbyt cenić) publiczność poszukuje tylko ultrasensacji i przebojowego egzotyizmu.

Myślę jednak, że taki stosunek do literatury nie jest słuszny i, że się nareszcie zmieni.

Wtedy nie będą czytelnicy zwracać uwagi na sensacyjne tytuły, lecz na treść i styl książki, będzie to nowy dzień triumfu prawdziwych talentów.

Mik.

## K O L U M N A M Ł O D Y C H P I Ó R

### O NOWĄ IDEOLOGJĘ

W odpowiedzi p. Wasungowej.

MY — MŁODE POKOLENIE.

Wiele się u nas mówi o starym, przedwojennym pokoleniu, wiele się też mówi o młodym, o tej przyszłości narodu, lecz wcale, lub mało się mówi o obu tych pokoleniach razem, o wspólnych ich dążeniach i celach.

Mógłby ktoś rzec, iż niema tej wspólnoty duchowej między starym pokoleniem a nami, młodymi, lecz temu odpowiem, że póki my i Oni nosimy wspólne miano Polaków, póty będziemy zawsze mieli wspólny cel i wspólne hasło: Bóg i Ojczyzna

Pod hasłem tem żyły całe szeregi pokoleń Polaków, pod hasłem tem wskrzeszoną została Polska, pod tem też hasłem imamy się pracy my — nowej Polski, nowe pokolenie. Ciężko nam — i na naszej drodze piętrzą się przeszkody, choć może innej natury, lecz nad tem wszystkim góruje jasno skryształizowane postanowienie: musimy budować silną i potężną Polskę — musimy kłaść niewzruszone podwaliny pod trwałą jej był!

Potrąfimy i my, choć młodzi jeszcze, czynem stwierdzić, iż nie obce nam zdanie: „Salus Reipublicae suprema lex”.

Należy jednak stwierdzić, iż mimo owej wspólnoty duchowej, brak było ściślejszego związku między owym starszym pokoleniem a nami młodymi, nie szliśmy ręką w rękę ku wspólnemu celowi — lecz, pozostawieni własnemu losowi szliśmy sobie ot tak, samopas, a efekt tego był rozmaity, zależnie od warunków i okoliczności. Mam tu oczywiście na myśli tylko związki duchowe, kierownictwo i opiekę moralną starszego społeczeństwa nad nami, gdyż, rzecz prosta kierownictwa i opieki oficjalnej, urzędowej w szkołach i zakładach nie jesteśmy pozbawieni.

Lecz to nam nie wystarczy. Żądamy czegoś więcej.

I oto w ostatnich czasach zaczyna się objawiać coraz większa chęć zbliżenia się, współpracy, a wreszcie — na łamach „Sternika” pada jasny i zdecydowany głos, nawołujący do podania sobie dłoni, do wspólnej pracy dla dobra umiłowanej nadewszystko Ojczyzny.

Oni — ofiarowują nam swe doświadczenie, zdobyte w ciężkich kolejach życia, my — bogactwo swych uczuć, swój zapał i entuzjazm, swe

młode siły, swą młodzieńczą wiarę w jaśniejszą przyszłość. Lecz w tę wspólną pracę musimy włożyć znacznie większy kapitał, bośmy zasobniejsi, bośmy bogatsi — i my w pierwszym rzędzie korzystać będziemy z procentów owego kapitału, do wspólnej kasy włożonego.

Prawda — że nieraz trudno otrząsnąć się z krępujących więzów, lecz Oni nie takie więzy mieli, a dziś są wolni — więc i my zwyciężymy. Musimy się wreszcie otrząsnąć z tego marazmu duchowego, odtrącić wszelkie obce wpływy. Jedni już może się z tego otrząsneli, może już żyją pełnym życiem, innym trudniej, zwłaszcza nam, żyjącym zdaleka od ognisk kultury, na rubieżach Rzeczypospolitej, lecz i my na apel stajemy do szeregu. Na zobrazowanie stanu naszej duszy niech mi wolno będzie przytoczyć niedawno jeszcze pisany wiersz, a którego dziś już się wstydzę. To nie słowa tylko, ujęte w rymy, to stan duszy tęskniącej do pełnego życia lotu, gdy po bezskutecznych szarpaniach się, ręce opadną...

Bronisław Miazgowski

### ODPOWIEDZI DZIAŁU LITERACKIEGO.

P. Ta-ro, Tomaszów Mazowiecki.

Nowelki Pańskiej nie będziemy drukować. Nasunęła nam ona pewne wątpliwości. Jest bez porównania gorsza od poprzedniej. Nie mówiąc już o pewnych technicznych nieprawdopodobieństwach — znaleźliśmy w tem opowiadaniu parę słabych momentów. Poszedł Pan drogą najmniejszego oporu. Całe niemal życie dróżnika zbył Pan kilkoma blahemi słowami, natomiast miłość potraktowana jest równie rozwlekle, jak banalnie. W rezultacie, niemniej banalne zakończenie pozostawiono bez dostatecznego umotywowania. Ani psychologii, ani zdrowemu rozsądkowi nie stało się zadość. Bohaterska śmierć powinna mieć w treści swoje uzasadnienie. A przytem, jeśli już pociąg naprawdę miał się wykoleić, to czyż zmieniłby postać rzeczy fakt zeskoczenia z drezyny? Słowem, każe Pan biednemu dróżnikowi ponieść niezrozumiałą i niepotrzebną ofiarę.

P. S. Pańskie obawy w sprawie „drezyny” są niesłuszne. Jest to wyraz ogólnie znany. Objaśnienie byłoby zbyt techniczne.

## WIADOMOŚCI SPORTOWE

## OXFORD — CAMBRIDGE.

Doroczne sensacyjne regaty ósemek dwóch uniwersytetów zakończyły się wygraną Cambridge. Jest to 41-e zwycięstwo Cambridge na 82 spotkania, z których jedno zakończyło się bez wyniku.

## SZERMIERKA.

Rewanżowe spotkanie Czechosłowacji i Polski wygrała ta ostatnia w stosunku 10:6 w szpadzie, a 9:7 w szablach.

Łódź — Poznań dał wygraną Łodzi w stosunku 14:13.

## BOKS.

W Wiedniu dn. 11 kwietnia odbył się mecz bokserski Austria — Polska. Pomimo zdecydowanie lepszej techniki i większej rutyny naszych zawodników, mecz zakończył się nierozegraną przy stanie 8:8.

## PIŁKA NOŻNA.

Po ostatnich rozgrywkach ligowych stan tabeli przedstawia się następująco według zdobytych punktów. 1) Cracovia. 2) Warta. 3) Ł. T. S. G. 4) Wisła. 5) Ł. K. S. 6) Polonia. 7) Pogoń. 8) Warszawianka. 9) Legja. 10) Ruch. 11) Czarni. 12) Garbarnia.

## PŁYWANIE.

W zawodach pływackich w Brukselli startował nasz rekordzista — Bocheński. W biegu na 100 m. stylem dowolnym Bocheński przegrał do Baranijego i Coppieteria w czasie 1:6,8. Gdyby nie falstart, a raczej niezrozumienie sygnału startera, rekord Polski napewno by padł.

## LEKKA ATLETYKA.

Bieg na przełaj odbyty na Grochowie o puchar magistratu warszawskiego zdobył na własność K. S. Orzeł. Spotkanie lekko-atletyczne Oxford — Cambridge wygrał Cambridge w stosunku 8:3.

## GRY SPORTOWE.

Na czoło rozgrywek o mistrzostwo W. O. Z. G. S-u w hazen: wysuwają się drużyny Polonji i A. Z. S-u.

W koszykówce męskiej utrzymuje się wdalszym ciągu w świetnej formie Polonia, a w siatkówce A. Z. S. Y. M. C. z powodu zmian organizacyjnych K. S. przeżywa chwilowe osłabienie formy. A. Z. S. urządza mistrzostwa Warszawy w single u panów i mixt-doubl'u siatkówki.

## DZIAŁ ROZRYWEK UMYSŁOWYCH.

## Konkurs dla znawców literatury polskiej.

Poniżej podajemy postaci z dzieł znanych pisarzy polskich. Rozwiązanie polega na odgadnięciu autora i dzieła, z którego postaci te zostały wybrane.

Oskierko, Harasimowicz, Głowbicz.

\* \* \*

Rachela, Maryna, Hetman.

\* \* \*

Orlik, Złotopolski, Jaśko Smolak.

\* \* \*

Orgonowa, Dyndalska, Rembo.

\* \* \*

Radzikowa, Demehl, Józef.

\* \* \*

Nagrodę za trafne rozwiązanie stanowi: „Miasto mojej matki” — Kaden-Bandrowskiego.

## ŁAMIGŁÓWKA.

podał Antoni Dziadek).



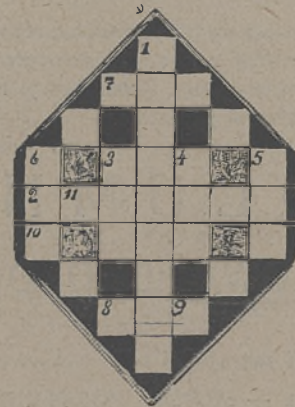
Trzema prostymi linjami przekreślić powyższe punkty w ten sposób, by na każdej prostej leżały po trzy punkty.

## KRZYŻÓWKA.

(podał Antoni Dziadek).

## Znaczenie wyrazów.

Poziome: 2. lichej towar, 3. postać biblijna, 7. serce w obcym języku starożytnym, 8. głos wydawany przez kozy lub owce.



Pionowe: 1. rzemieślnik, 3. spółgłoska (fonetycznie), 5. zwierzę wodne, stawonogie, 6. zaimek.

Skośne: 1. (w lewo), stacja kolejowa i miejscowość kuracyjna pod Gdynią, (wspak); (w prawo), ptak, 9. (w prawo) kogut inaczej, 10. symbol kobaltu (fonetycznie wspak), 11. czasownik używany w grze w piłkę nożną (trzecia osoba l. p., wspak).

## Rozwiązanie zadań z numeru 5 i 6.

## Rebusiki literowe.

1. Samo-lot.
2. Przy-r-oda.

Termin nadsyłania rozwiązań z bieżącego numeru upływa 20 maja. Na kopercie obok adresu dopisywać należy „Rozrywki umysłowe”. Na nagrodę za rozwiązanie powyższych zadań przeznaczają Redakcja książkę Sieroszewskiego „Zamorski Djabeł”.

PRENUMERATĘ „STERNIKA” PRZYJMUJE RÓWNIEŻ KSIĘGARNIA P. GUSTAWA SZYLINGA W WARSZAWIE, UL. SZPITALNA 10.

## „STERNIK” WYCHODZI 10-go I 25-go KAŻDEGO MIESIĄCA.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Al. Ujazdowskie 37 m. 23, Tel. 445-16, Konto P. K. O. 21355. Redaktorzy przyjmują interesantów we wtorki i piątki od 5—6 popołudniu. Administracja czynna od 9 rano do 3 pp.

Cena prenumeraty: w Warszawie (z odniesieniem do domu) i na prowincji (z przesyłką pocztową) miesięcznie 1 złoty, — kwartalnie 3 złote, półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 złotych. Zagranicą o 25 groszy miesięcznie drożej.

Ceny Ogłoszeń: Jednorazowo, 1/1 kol. — 200 zł. 1/2 kolumny — 100 zł., 1/4 kol. — 60 zł., 1/8 kol. — 35 zł. 1/16 kol. — 20 zł. Przy ogłoszeniach wielokrotnych ceny niższe.

Redaktorzy: W. Prażmowska i Z. Zieleniewski.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Z. Zieleniewski.

Warszawskie Zjednoczone Zakłady Graficzne „SPÓLDRUK”, Warszawa, ul. Długa Nr. 26. Telefon Nr. 260-19.